

KAMENIA

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

W NUMERZE: 1 anioł i 19 diabłów • Joachim Leleweł • Od Tahiti do Szczecina • Kłopoty z nauką • Góry, pieśni i ludzie • Miejsce milej pogawędki • Druga scena • Rozwiązanie konkursu literackiego „Kameny” • I in.

Rzecz o inteligencji wiejskiej

Wszelkie osiągnięcia Polski Ludowej budzą w nas — obok zrozumiałego poczucia dumy narodowej — potrzebę dyskusji: „co zrobić, aby dzień jutrzejszy był lepszy od wczorajszego”. Najpełniejszym wyrazem odczuć społeczeństwa polskiego jest z jednej strony zaufanie do partii i władzy ludowej, wyrażone choćby w niedawnych wyborach do Sejmu i rad narodowych, a z drugiej strony gospodarskie podejście do zagadnień ekonomiczno-społecznych, rzeczowa krytyka błędów, wzrost inicjatywy społecznej, innymi słowy zrozumienie współodpowiedzialności za wszystko, co się w kraju dzieje.

Jednym z zagadnień, które na przestrzeni ostatnich lat zajmuje coraz więcej miejsca w publicznych dyskusjach, jest konieczność przyspieszenia rozwoju oświaty i kultury. Zaanonsowana przez VII Plenum KC PZPR reforma szkolnictwa, pierwsze udane próby uczenia w szkołach wiejskich ośrodków pracy oświatowo-kulturalnej (Węgrów w woj. warszawskim, Chełm, Lubartów, Łuków w lubelskim), akcja „1000 szkół” i szereg innych poczynań nie przypadkowo zbiegają się w czasie.

W obecnej ofensywie oświaty i kultury ważne miejsce zajmuje wieś, tam bowiem pozostały z dawnych lat największe zaniechania i tam jest najbardziej widoczna dysproporcja między osiągnięciami ekonomicznymi kraju a umiejętnością celowego korzystania z tych osiągnięć. Zdając sobie sprawę z faktu, że w dotychczasowej ofiarnej pracy działaczy oświatowo-kulturalnych na wsi nie zostały jeszcze wykorzystane wszystkie możliwości przyspieszenia tej ofensywy, redakcja nasza zorganizowała dyskusję na temat: „Rola inteligencji wiejskiej w podnoszeniu poziomu oświaty i kultury własnych środowisk”. W dyskusji uczestniczyli: WANDA DEJEK — agronom rejonowy z Samoklesk w powiecie lubartowskim, FELIKS KOWALSKI — kierownik szkoły podstawowej w powiecie bełżyckim, MICHAŁ MAZUREK — kierownik szkoły podstawowej w Wólce Krasińskich, STANISŁAW POMORSKI — nauczyciel Szkoły Przystosowania Zawodowego w Krańniku Fabrycznym, EDWARD NADULSKI — kierownik Wydziału Kultury PWRN, JÓZEF ZIĘBA z Wojewódzkiej Poradni Kulturalnej LDK, oraz członkowie redakcji Kamienia: MARIA BEHCZYC-RUDNICKA (redaktor naczelny), ANNA TATARKIEWICZ i ADOLF LEKKI.

Redakcja traktuje te wypowiedzi jako wstęp do dalszej dyskusji na poruszone tematy. Zapraszamy do niej wszystkich, którym leży na sercu rozwój oświaty i kultury na wsi. Dla każdej rozsądnej propozycji znajdzie się miejsce na łamach pisma.

REDAKCJA

M. BEHCZYC-RUDNICKA: Proszę państwa! Chodzi nam o intensywne wykorzystanie czasu, aby nasza narada dała jak najbardziej konkretne wyniki. Nie będę więc wygłaszała wstępnego przemówienia. Chcę tylko powitać szanownych kolegów i podziękować za przybycie na spotkanie. Użyłam słowa „kolegów”, bo wydaje mi się, że my wszyscy pracujący dla dobra kultury jesteśmy kolegami. Niestety bywamy niekiedy „towarzyszami niedoli”. Ale po to właśnie zebraliśmy się dzisiaj, by to niemiłe określenie nigdy nie było aktualne. By narada pomogła nam i sprawie. Mam nadzieję, że kontakt nawiązany z wami nie urwie się po dzisiejszym spotkaniu. Powinniśmy kontynuować współpracę z pożytkiem dla was i pisma.

J. ZIĘBA: Praca inteligencji wiejskiej w środowisku uzależniona jest w dużej mierze od „pracy z inteligencją”. Mam informacje o żywotnych klubach inteligencji wiejskiej, jakie od pewnego czasu z powodzeniem organizuje Związek Młodzieży Wiejskiej. Kluby te mają na swoim koncie pewien doświadczenie. Do najżywotniejszych na Lubelszczyźnie należą kluby w Rybczewicach, przy Technikum w Radoryżu, w Tarnogrodzie i kilka innych. Kluby współpracują ze szkołami, z TWP i uniwersytetami powszechnymi.

M. BEHCZYC-RUDNICKA: Kolega Zięba zaczął szkicować obraz Lubelszczyzny. Jest to o tyle cenne, że możemy skonfrontować jego wiadomości z wypowiedziami kolegów z terenu.

J. ZIĘBA: Ja tylko zwróciłem uwagę na problem, który jak dotychczas nie wszędzie jest należycie doceniany. Obserwuję, że w naszym województwie jest pewna grupa aktywnej inteligencji działającej na wsi. Są to nauczyciele,

agronomie, lekarze, pracownicy rad narodowych i spółdzielczości. Ta grupa stale wzrasta. Ale jest też olbrzymia grupa przedstawicieli tych samych zawodów raczej bierna w stosunku do aktualnych problemów wsi. Widzę jakiś problem w tym, by aktywne grupy inteligencji wiejskiej nie zamykały się we własnym kręgu, by impulsywnie rozszerzały ten potencjał który wniosły ze sobą na wieś.

F. KOWALSKI: Zadanie istotnie ważne, ale nie zawsze możliwe do wykonania. Jestem długoletnim kierownikiem szkoły podstawowej, a od pewnego czasu także szkoły przystosowania rolniczego w Wojciechowie. Oprócz tego jestem przewodniczącym komisji kulturalno-społecznej przy PZGS Lublin. Z mego podwórka widać więc dosyć daleko. Jest nas w Wojciechowie ośmiu nauczycieli, jest lekarz medycyny i lekarz weterynarii, jest agronom. Najcenniejszą działaczką jest koleżanka Matrasowa. Inni nauczyciele nie angażują się uważając, że kultura to dziedzina kol. Matrasowej. Nieobojętna jest sprawa kwalifikacji i umiłowania tej pracy. Z przykrością trzeba stwierdzić, że młodzi nauczyciele, absolwenci liceów pedagogicznych nie są odpowiednio przygotowani do pracy społecznej w środowisku.

M. BEHCZYC-RUDNICKA: Może koleżanka Dejek, młody agronom, w dodatku kobieta, powie nam, jak sobie daje radę w środowisku.

J. ZIĘBA: Jak szkoła przygotowała koleżankę do działalności społecznej?

W. DEJEK: Szkoła przygotowała mnie raczej do wykonywania zawodu.

F. KOWALSKI: Nie tylko to utrudnia „rozszerzenie potencjału, jaki aktywne grupy inteligencji wniosły na wieś”. Działacza społecznego nie wykształcił się w samej szkole. Istnieje jakieś nieporozumienie co do określenia: „działalność społeczna”. Pokutuje jeszcze mniemanie, że określenie to dotyczy zespołów artystycznych, to znaczy kiero-

(Dokończenie na str. 2)

MIŁOŚNICY PUŁAW

ALEKSY BORNUS

BUDOWA kombinatu chemicznego w Puławach staje się podstawą do znacznego i szybkiego rozwoju miasta. W ciągu najbliższych dziesięciu lat ludność Puław wzrośnie z 14 do 40 tysięcy mieszkańców. Odpowiednio rozbudowane zostaną urządzenia komunalne, ośrodki usługowe i szkolnictwa (samych bloków mieszkalnych powstanie około 120). Taki rozwój daje Puławom wielką szansę odgrywania w przyszłości człowiek roli w życiu gospodarczym i kulturalnym Lubelszczyzny. Z szansy tej zdają sobie sprawę zarówno władze jak i społeczeństwo puławskie. Widoczny w ostatnim okresie wzrost zainteresowania wśród mieszkańców sprawami miasta, jego przyszłością — kształtowanie się „patriotyzmu lokalnego” jest coraz wyraźniejsze. Ma to swój wyraz w podejmowaniu inicjatyw i czynów społecznych przy porządkowaniu miasta. Każdego, kto przyjeżdża do Puław, uderza czystość, dbałość o „zieloną architekturę”, estetykę ulic i wygląd zewnętrzny budynków. Puławianie zaczęli wierzyć w przyszłość swojego miasta, zaczęli doceniać jego walory turystyczne i historyczne, które sprwadają doń tysiące turystów i wycieczkowiczów w okresie wiosenno-letnim. Pragnienie, by miasto stawało się coraz atrakcyjniejsze i nabierało znaczenia, staje się powszechne.

Zjawisko jest tym ciekawsze, że znaczna część obecnych mieszkańców Puław wywodzi się z innych środowisk i różnych stron Lubelszczyzny i kraju.

(Dokończenie na str. 9)

Pięć lat LDK

Jubilatом życzymy dalszych pięciu (skala Tysiąclecia!) lat równie owocnej pracy, a sobie — dalszej z nimi pożytecznej współpracy. Szczegółowe, obszernie omówienie osiągnięć LDK zamieścimy w lipcowym numerze naszego pisma.

Ż ogniska baletowego LDK



1 anioł i 19 diabłów

JERZY
DOSTATNI

Uff — Dni Oświaty, Książki i Prasy szczęśliwie minęły. Szczęśliwie dlatego, że wiele zobowiązanych do szczególnego wysiłku właśnie w tym okresie instytucji i osób nie, albo prawie nie konkretnego nie zrobiło. Oczywiście w sprawozdaniach jest pewnie dużo podsumowań z tej chociażby prostej przyczyny, że na konto Dni zapisano wszystko to, co normalnie i tak się odbywa, że tak czy inna impreza lub pseudoimpreza można bez trudu odszukać przynajmniej w czterech różnych sprawozdaniach. A w komitetach honorowych aż się roilo od znakomitych nazwisk i chyba dlatego zabrakło ludzi do prawdziwej roboty. I zapewne gdyby nie oba dzienniki lubelskie, specjalne numery „Kamery”, niezawodny w takich okazjach Dom Książki, zapomniane przez wielu działaczy i „działaczy” Wydawnictwo Lubelskie oraz ktoś tam jeszcze — historyk z przyszłego pokolenia byłby w prawdziwym kłopotcie chcąc stwierdzić, czy w roku 1961 takie Dni były rzeczywiście urządzane czy nie. Czy warto jednak tak bardzo krakać? Czekają nas przecież jeszcze doroczne Dni Lublina i jest „nadzieja”, że będzie jeszcze gorzej. A juvenalia to co?

Mimo wszystko warto może jednak porozmawiać trochę o książkach, gazetach i wodce.

Najpierw nie bez melancholii wypada stwierdzić, że dane statystyczne na temat spożycia alkoholu są bardzo dokładne, podzielone na powiaty, miasta i wsie, na spożycie przeciętne i ogólne, w złotych i na litry — co i jak kto chce. I doprawdy nie wiem, co jest tego przyczyną. Ciekawość handlowców, którzy szukają możliwości zwiększenia obrotów, czy też bohatera decyzja — aby skutecznie zwalczać wroga, trzeba go lepiej poznać. Pozwól, Drogi Czytelniku, że nie zdradzę tu swego osobistego poglądu, który oby okazał się fałszywy.

Natomiast jeżeli chodzi o podobne obliczenia co do książek i gazet, miałem poważne kłopoty. Dom Książki posiada istotnie różne ciekawe zestawienia i analizy. Ale z Ruchem znacznie gorzej. Tu tylko dzięki dawnym znajomościom ktoś poświęcił wiele godzin na zrobienie zestawienia, które jednak ze względu na samą strukturę tego przedsiębiorstwa okazało się bardzo niewystarczające dla szczegółowej analizy. Umyśliłem sobie mianowicie napisać ten artykuł inaczej niż obecnie on wypada. Chciałem przeprowa-

dzić analizę sprzedaży tych trzech artykułów według powiatów, co — jak mi się wydawało — mogłoby stanowić pewien drogowskaz dla działaczy kulturalnych i handlowych. No, ale jakże napisać tu coś konkretnego o mieszkańcu Świdnika czy Rejowca, jeżeli np. dla Ruchu teren miasta Lublina, powiatu lubelskiego i powiatu bychawskiego stanowi jeden worek, w którego wnętrzu nikt się chyba nie wyznaje? A pamiętam jeszcze z własnej praktyki, jak to co tydzień analizowało się sprzedaż czasopism nawet według pojedynczych kiosków i to zależnie od dnia tygodnia. Ale po jakie licho wytrwanie zbiurokratyzowana machina kolportażu miałaby się dziś zajmować takimi drobiazgamami?...

Mam przed sobą zestawienie sprzedaży Domu Książki za rok 1960. Mieszkańcy naszego województwa zakupili w tym czasie 3.039.865 książek wartości 36.296 tys. zł. Prym wiedzie oczywiście Lublin — niemal 16,5 miliona złotych. Najmniej kupuje Bychawa — 252 tys. zł, ale równie zaskakująco mało powiat zamojski — zaledwie 257 tys. zł. Oczywiście w pierwszym wypadku działa siła ciężkości miasta wojewódzkiego, w drugim powiatowego (sam Zamość ponad 2 miliony zł).

Przeciętnie na jednego mieszkańca Lubelszczyzny wypada rocznie wydatek 20 zł na zakup książek. Jeżeli doliczymy do tego książki sprzedawane przez Ruch (ogółem 2.046 tys. zł), a także inne instytucje (ok. 1 miliona zł), przeciętna wojewódzka podnieśnie się do niemal 21,50 zł. Trzeba tu jeszcze wyjaśnić, że ok. 12 milionów zł — to wartość podręczników szkolnych, a więc tych książek, które młodzież musi kupić. Na beletrystykę, popularno-naukowe itd. pozostałoby wtedy ok. 27 milionów zł przy przeciętnym rocznym wydatku na ten cel 14,70 zł.

Dużo to czy mało? Trudno powiedzieć. W każdym razie pocieszające jest to, że handel książkami notuje stały wzrost obrotów i to na przestrzeni ostatnich dwóch lat, aż o 28 procent. Dodajmy tu nawiasem, że wzrost ten we Wrocławiu i Gdańsku był niemal pięć razy mniejszy, a w Łodzi sprzedaż książek nawet zmalała w tym czasie o 4,5 procent. Dodajmy jeszcze z dumą, że rośnie sprzedaż książek rolniczych, że Dom Książki dał niemal 2 miliony zł czystego dochodu, że wzrost obrotów jest 2,5 razy większy niż przeciętnie w całym kraju, że mamy stosunkowo najwięcej w całym kraju wykwalifikowanych

księgarzy. Z radości wypadłoby niemal pójść „na jednego”...

Jeżeli chodzi o czasopisma, wiedziałem, że nakład jednego tylko dziennika lubelskiego jest dzisiaj większy od ogólnej sumy nakładów sprzedawanych przed wojną wszystkich tytułów. Ale sam byłem zaskoczony stwierdzeniem, że Lubelszczyzna wydaje rocznie na gazety 38,5 miliona złotych. Niemal dokładnie to samo, co na książki. Jest więc olbrzymia różnica w porównaniu z okresem mię-

(Dokończenie na str. 9)

świadczenie w pracy społecznej i taki sam okres zdobywania autorytetu. Judydymów nie było przed wojną zbyt wielu. Także agronom, mimo że jego praca związana jest bezpośrednio z produkcją rolną, jest na wsi (w dzisiejszym słowa tego rozumieniu) zawodem nowym. Tylko nauczyciel zasiadł na wsi od lat ma tam największy autorytet. Wydaje się, że on pierwszy winien wyciągnąć pomocną dłoń do młodego agronoma, lekarza, pracownika rady narodowej. Niech to nie będzie zrozumiane jako jeszcze jeden ciężar złożony na jego barki. Spowodowanie współpracy różnych grup inteligencji w podnoszeniu poziomu kulturalnego wsi odciąża nauczyciela. Dotychczas, zamiast tej współpracy, obserwujemy niezdrową „konkurencję” między inteligencją pracującą na wsi.

W. DEJEK: W Samokłeskach nie ma tej konkurencji. Kierowniczką Uniwersytetu Powszechnego jest kol. Żelazna. Jej mąż jest prezesem kółka rolniczego. Ja z tytułu zawodu utrzymuję z nimi stały kontakt. Współpracuję, jak już wspominałam, z nauczycielstwem. Mamy też piękne wyniki. Dużo pomaga nam Fabryka Samochodów Ciężarowych, która objęła szefostwo nad gromadą.

E. NADULSKI: W minionym okresie obserwowaliśmy, że działalność kulturalna koncentrowała się na zespółach teatralnych, chórach itp. Rok 1960 przyniósł zasadniczą zmianę. Dużo przeobrażenia społeczno-gospodarcze, jakie zaszły w kraju, napływu sprzętu technicznego na wsi, potrzeba racjonalnego uzyskiwania efektów gospodarczych dyktuje konieczność poznawania wiedzy technicznej. Z działalności artystycznej zainteresowanie społeczeństwa zaczyna się przesunąć na działalność oświatową. Ofensywa techniczna na wsi wymaga przecież odpowiedniego przygotowania odbiorcy sprzętu technicznego.

Drugie zjawisko: na wsi przychodzi nowa kadra. Do nauczyciela dołącza agronom, lekarz, weterynarz, pracownicy rad, spółdzielczości. Obowiązek pracy oświatowej ciąży więc nie tylko na nauczycielu. Lecz nauczyciel posiada pewne formy pracy w środowisku. Zgadza się z kol. Lekkim, że winien się nimi podzielić z nową inteligencją. Ta inteligencja zdobyła wiedzę w uczelniach państwowych, przy pomocy państwa. Spłacenie zaciągniętego przez nią długu polega nie tylko na sumiennym wykonywaniu obowiązków zawodowych.

W naszym rozumieniu jest nie do pomyślenia działalność kulturalna bez aktywnej postawy całej inteligencji wiejskiej. Jest to także odpowiedź kol. Kowalskiemu na temat: kompetencje PZGS i Wydziału Kultury. Pracownicy naszego Wydziału mogą tylko koordynować wysiłki poszczególnych pionów, stwarzać klimat dla odpowiedniej pracy. Sama działalność spoczywa jednak na szerokiej rzeszy inteligencji i całego społeczeństwa.

Przynawane przez państwo finanse są za małe. Szczególnie dotyczy to województw wschodnich, które nie mogą nadać w rozwoju kulturalnym za województwami centralnymi i zachodnimi, gdzie baza materialna jest o wiele korzystniejsza. Na ostatniej konferencji w Ministerstwie Kultury i Sztuki wysunąłem postulat, aby przeszkalać kadre zaawansowaną w działalności kulturalnej, szczególnie ze środowisk wiejskich wschodnich województw. Chodziło także o stworzenie większych możliwości wydawniczych dla tych regionów kraju. U nas słowo drukowane odgrywa specjalnie ważną rolę wobec braku telewizji czy słabego stopnia radiofonizacji wsi.

Przy większej aktywności Lubelszczyzny nasze postulaty powinny być uwzględnione.

A. LEKKI: Jam pytanie do kierownika Nadulskiego. Wśród władz wojewódzkich partyjnych i państwowych jest pełne zrozumienie dla pracy kulturalno-oświatowej. Plenum KW PZPR poświęcone tym sprawom, szereg uchwał WRN świadczy o tym najlepiej. Jak to zrozumienie wygląda w powiatach?

E. NADULSKI: Oficjalne stanowisko władz wojewódzkich jest znane i powiaty powinny wykonywać obowiązujące zarządzenia. Lecz bywa różnie. Brak mieszkań, często etatów, powoduje, że władze powiatowe rezygnują nieraz z ludzi posiadających wyższe wykształcenie, że do pracy kulturalno-oświatowej kierują osoby nie nadające się na inne stanowiska. Jest to oczywiście zjawisko przemijające.

M. BECHCZYC-RUDNICKA: Nie tracimy z pola widzenia roli inteligencji wiejskiej w takich warunkach, jakie aktualnie istnieją.

S. POMORSKI: Jest w powiecie kraśnickim kierownik szkoły w Wilkowie — pedagog, kierownik orkiestry, chóru, innymi słowy człowiek wszechstronny. Jest w tej samej miejscowości lekarz. Wprawdzie dobry fachowiec, ale nie uznający żadnej pracy społecznej. Zyje on bezspornie lepiej niż nauczyciel. Przytaczam ten przykład dla podkreślenia faktu, że warunki materialne nie zawsze idą w parze z wysiłkiem inteligenta wiejskiego.

M. MAZUREK: Pieniądze na działalność kulturalno-oświatową posiadają różne instytucje i nie zawsze wykorzystują je należycie. Moim zdaniem, powinien być jeden dysponent. Rola powiatowych komisji koordynacyjnych jest niezmiernie ważna. My to czujemy we wsiach. W Wólce Krasienińskiej nie ma innej inteligencji tylko nauczycielstwo. Są wśród nas społecznicy. Ja mam dziesiątek różnych funkcji, a to nie pozwala mi skupić się na jednym zagadnieniu. Poza tym dom społecznika to hotel i jadalnia dla prelegentów, przedstawicieli różnych placówek itp. Społecznicy są gościnni. Gościnność jednak kosztuje. Niespołecznik uśmiecha się z pobłażaniem.

Nie chodzi o jakieś wynagradzanie społeczników, o przyznawanie im dodatku reprezentacyjnego, lecz o takie ustawianie pracy, aby społecznik nie ponosił dodatkowych ciężarów, aby nasze małżonki straciły pretekst do wymówek. Trzeba spowodować, aby nauczyciel społecznik nie był wykorzystywany do wszystkich poczyniń, od trucia szczeniów począwszy, na kontrakcji roślin oleistych skończywszy. I jeszcze jeden problem: większość lubelskich zakładów pracy pełni szefostwa nad określonymi gromadami. Koleżanka Dejek mówiła, że Samokłeskami opiekuje się Fabryka Samochodów Ciężarowych. Tak się składa, że zakłady produkcyjne opiekują się gromadami, które bez tej opieki mogą prowadzić pracę. Wydaje się, że powinna nastąpić zmiana. Wsie oddalone od głównych dróg komunikacyjnych, zaniedbane w rozwoju — te właśnie muszą znaleźć swoich opiekunów. Lecz przede wszystkim apel: w nauczycielu wiejskim trzeba widzieć człowieka, który ma do spełnienia określoną misję...

S. POMORSKI: Widzieć nie tylko nauczyciela społecznika i na jego barki składać cały ciężar pracy, lecz także tych, którzy mogą być jego pomocnikami. Dla wielu młodych lekarzy praca w środowisku wiejskim jest „karą”, którą rekompensuje tylko możliwość wysokich zarobków.

E. NADULSKI: Nieformalna możliwość.

S. POMORSKI: Oczywiście. Ale to nie zmienia faktu, że nauczyciel po dziesiątkach lat pracy na wsi jeździ rowem, a wielu lekarzy przy pierwszej okazji opuszcza wieś samochodem.

A. LEKKI: Poruszyliśmy w dyskusji szereg spraw istotnych dla dalszej pracy inteligencji w środowisku wiejskim. Temperatura naszej narady, krótkie spięcia, ożywienie uczestników — wszystko to świadczy, że redakcja „Kamery” poruszyła temat interesujący nas wszystkich. Zdajemy sobie sprawę, że jest więcej zagadnień wartych omówienia, oraz z faktu, że dyskusja nasza tylko wtedy przyniesie pożądany efekt, gdy zaangażują się w niej przedstawiciele wszystkich grup inteligencji wiejskiej. Miejmy nadzieję, że wypowiedzi uczestników, a szczególnie Kolegów ze wsi padną na podatny grunt.

M. BECHCZYC-RUDNICKA: I jeszcze raz proszę w imieniu redakcji „Kamery” o dalsze utrzymywanie z nami kontaktu w postaci korespondencji i odwiedzin.

Dyskusję notował
i w skrócie podał do druku
Adolf Lekki

Rzecz o inteligencji wiejskiej

(Dokończenie ze str. 1)

wania nimi, bądź pracy w partii. Stąd wynika obserwowane przeze mnie zjawisko braku aktywności wśród pewnej części inteligencji wiejskiej. Kultura to domena koleżanki Matrasowej, a więc odsuńmy się na bok. Poza zasięgiem oddziaływania inteligencji pozostają takie organizacje, jak kółka rolnicze (agronom zwraca uwagę przede wszystkim na uprawy polowe, hodowlę, mechanizację), Koła Gospodyń Wiejskich. Niedostatecznie prowadzona jest praca oświatowa z młodzieżą pozaszkolną i starszym społeczeństwem. Miejsca do pracy jest dosyć dla każdego chętnego. A finanse? Poważne kwoty na działalność kulturalno-społeczną ma na przykład spółdzielczość zaopatrzenia i zbytu.

Ale cóż... W ubiegłym roku nasza komisja przy PZGS zorganizowała przegląd zespołów amatorskich w kilku punktach wiejskich, a następnie eliminacje w Lublinie. Była to udana impreza. A później zarzuciono nam, że wyręczamy w pracy Wydział Kultury PWRN. W tym roku wycofaliśmy się z tego pola. Opiekujemy się zespołem w Krzeszowie.

M. BECHCZYC-RUDNICKA: Wydaje mi się że tutaj, jak w wielu innych dziedzinach, zasadniczym mankamentem jest brak koordynacji...

W. DEJEK: Potrzeba koordynacji działalności kulturalno-oświatowej w ogóle nie tylko imprez, występuje coraz wyraźniej także u nas. Jestem młodym agronomem i nie brak mi zapędu do pracy społecznej. Lecz młodym, a szcze-

gólnie kobietom, trudno jest pracować w środowisku wiejskim. Otacza je mur nieufności zarówno co do umiejętności zawodowych, jak i wszelkich poczyniń społecznych. Młody inteligent musi więc szukać oparcia o ludzi z długoletnim doświadczeniem działacza. Konieczna jest współpraca nauczycieli, agronomów, lekarzy — wszystkich tych, którym leży na sercu dobro wsi.

A. TATARKIEWICZ: Wydaje mi się, że kluby inteligencji wiejskiej mogłyby być jakąś wspólną płaszczyzną, wspólnym frontem działania...

W. DEJEK: Ja na swoim terenie nie spotkałem się z działalnością takich klubów

W Samokłeskach pracuje kierownik szkoły Krutowski. Jego żona prowadzi zespoły artystyczne. Jest dobrze pracujące Koło Gospodyń Wiejskich. Współpracujemy i to dodaje mi siły. Lecz nie ulega wątpliwości, że największy wpływ na otoczenie ma nauczycielstwo.

A. LEKKI: Słowa kol. Dejek dają wiele do myślenia. Zaczniemy od aksjomatów. Wraz z ekonomicznym rozwojem Polski wzrasta kultura kraju — i to nie tylko w środowiskach przemysłowych. Drugim pewnikiem jest fakt, że cementuje się front walki o kulturę i że na tym froncie nie zostały jeszcze wykorzystane wszystkie możliwości mogące przyspieszyć zwycięstwo.

Jednym z zawodów cieszącym się na wsi największym autorytetem jest niewątpliwie zawód nauczyciela. Jest to zrozumiałe. Lekarz w dzisiejszym tego słowa rozumieniu — to inteligent mający zaledwie dziesięcioletnie do-

Sto lat minęło w dniu 29 maja br. od chwili, gdy zamknął oczy na obczyźnie, w Paryżu, największy historyk Polski, wybitny działacz i pisarz polityczny, Joachim Lelewel.

Joachim Lelewel przyszedł na świat w Warszawie, 22 marca 1786 r. jako syn Karola i Ewy z Szelutów. Po matce dziadził krew białoruską, po ojcu niemiecką, sam uważał się za Polaka.

Od młodości wykazywał zamiłowanie do lektury historycznej, sporządzania wyciągów, rysowania planów itp., ukończył studia historyczne w r. 1818 na Uniwersytecie Wileńskim, gdzie głównie dzięki prof. filologii Grodzieckowi zapoznał się z niemiecką literaturą, geografiami i numizmatyką. Jako fenomenalny samouk opanował 12 języków.

Przez 2 lata był wykładowcą geografii w Liceum Krzemienieckim. Od roku 1815—1818 wykładał jako z. profesora na Uniwersytecie Wileńskim, od 1819—21 był profesorem bibliografii na Uniwersytecie Warszawskim, w l. 1821—24 profesorem historii powszechnej na Uniwersytecie Wileńskim. Głęboka wiedza, gorący patriotyzm, jakie były z jego starannie opracowanych wykładów, zjednały mu uwielbienie młodzieży, czego wyrazem jest wiersz A. Mickiewicza „Do Joachima Lelewela”, napisany w związku z powrotem uczonego na katedrę w 1821 r. Z chwilą rozpoczęcia prześladowań patriotycznej młodzieży wileńskiej, usunięty w r. 1824 ze stanowiska profesora, przeniósł się do Warszawy. Tu powstał jego popularny zarys historii, napisany z republikańskiego i patriotycznego stanowiska, pt. „Dzieje Polski potoczny sposobem opowiedziane” (1829).

Od r. 1825 należał do tajnego Towarzystwa Patriotycznego. Po upadku powstania dekabrystów w Petersburgu, pociągany przed komisję śledczą (1828), zyskał popularność. W r. 1829 został wybrany na posła do sejmiku, w Izbie poselskiej występował przeciwko cenzurze prewencyjnej i reakcyjnemu projektowi rządowemu prawa o rozwodach.

Gdy wybuchło powstanie listopadowe, Lelewel, powołany do rządu rewolucyjnego, uczestniczył w jego pracach aż do objęcia władzy przez gen. Krucowieckiego (17.8.31). Równocześnie jako prezes rewolucyjnego klubu Towarzystwa Patriotycznego łączył sprawę niepodległości z przebudową polityczną kraju, opartą na zasadach demokratycznych. Należał wreszcie do inicjatorów zawiązanego, po upadku stolicy, w Zakroczymiu 15.IX tajnego Komitetu, który miał ułatwić przemarsz postępowych wychodźców przez Niemcy do Europy Zachodniej.

Na emigracji w Paryżu, na stanowisku prezesa Komitetu Narodowego Polskiego, Lelewel nawiązał kontakty z lewicą francuską, z węglarstwem i masonerią europejską, z rewolucjonistami niemieckimi, węgierskimi i włoskimi. Redagował odezwy, memorialy, listy otwarte, wygłaszał przemówienia polityczne na uroczystościach narodowych. Przeciwstawiał się polityce obozu konserwatywnego, liczącego na pomoc obcych rządów. Za wydaną w grudniu 1832 odezwę do Rosjan, wzywającą w imię braterstwa słowiańskiego i pamięci dekabrystów do wspólnej walki z narodem polskim przeciwko caratowi, Lelewel został wezwany do opuszczenia Paryża, a jesienią 1833 r. wydalony z Francji. Pieszo, w niebieskiej bluzie robotniczej, z węzłkiem na kiju, opuszczał Francję bogatszy o 2 doświadczenia: 1) że nie dadzą się pogodzić przeciwieństwa światopoglądowe istniejące między obozem postępowym a blokiem konserwatywnym wielkiej emigracji, tzw. Hotelem Lambert, z ks. A. Czartoryskim na czele; 2) że Polacy nie mogą liczyć na pomoc rządów zachodnio-europejskich.

Odtąd samotna izdebka na poddaszu „Estaminet de Varsovie” (kawiarenki warszawskiej) w Brukseli stała się pracownią naukową, kuźnią myśli historycznej i politycznej „patriarchy demokracji polskiej”. Poufne raporty policji belgijskiej podkreślały jego abnegację. W dochowanym w dyrekcji bezpieczeństwa publicznego w Ministerstwie Sprawiedliwości Brukseli doniesieniu z r. 1835 czytamy: „Wygląda ubogo. Mówia, że rozporządza dziennie tylko frankiem. Zagrzebany w swej izdebce o czynszu 10 fr. miesięcznie, pracuje od świtu do wieczora. Około 9 godziny wieczór wychodzi przeczytać dzienniki w kawiarni Benonrie, gdzie wypija 1/2 szklanki (kawę) z kilkoma grzankami, stanowiącymi całą część jego pożywienia”. Niewielkie honoraria autorskie obracał na wsparcie bardziej potrzebujących od siebie, albo na wydanie niektórych dzieł własnym nakładem. Jak ceniono jego prace z zakresu numizmatyki dowodzi tego powołanie go na dożywotnego

prezesa honorowego Belgijskiego Towarzystwa Numizmatycznego oraz wzbicie na jego cześć dwu medali w r. 1847 i 1858. Nadwierzzył wzrok przy rysowaniu i ryciu na miedzi map i monet, których precyzja dziś jeszcze budzi podziw. Pozbawiony dostępu do polskich archiwów, przerabiał dawniejsze swe dzieła z zakresu dziejów ojczystych.

Pod wpływem doświadczeń życiowych poglądy Lelewela, zrazu zdecydowanego glosiciela solidaryzmu narodowego, uległy na emigracji ostatecznemu skryzlowaniu w sensie przesunięcia na skrzydło umiarkowanej lewicy. Wyrósł na czołowego ideologa antyfeudalnego, na „patriarchę demokracji polskiej”. Od r. 1847 razem z Karolem Marxem pełnił obowiązki wiceprezesa Międzynarodowego Towarzystwa Demokratycznego. Na obchodzie II rocznicy powstania krakowskiego 1846 r., tj. 22.II.1848 w Brukseli, zyskał słowa gorącego uznania ze strony F. Engelsa. Jednak Lelewel, choć go łączyły stosunki przyjazne, zwłaszcza z Marxem, nie podzielał jego teorii i praktyki klasowo-rewolucyjnej.

Z kolei nasuwa się pytanie: jaki był Lelewela program wyzwolenia narodowego i społecznego Polski? Jako ideolog, pisarz polityczny i historyk Lelewel głosił konieczność związania sprawy odzyskania bytu politycznego narodu z wyzwoleniem społecznym mas chłopskich. Poczytywał sprawę chłopską za kluczowy problem: „los ludu polskiego, — pisał — los mieszkających dotąd w poddaństwie roli poświęconych. Jego krzywdą jest jedno z najcięższych przestępstw przeszłości, a Polska dziś poćwiartowana bodajże ponosi kaźń za to, że Rzplta swój lud zbyt długo zaniedbywała”. Dochodził więc do wniosku: „Trzeba znieść pańszczyznę, bo to ohydne”. Jak twierdził w r. 1833 „bez wielkiej co do

własności w kraju naszym zmiany był narodu się nie ustali; równie jak bez tego, aby rolnik wszelkiego tytułu nie miał pełnego obywatelstwa używać”. Uwłaszczenie pojmował jako idące w parze z pełnym równouprawnieniem chłopów. Dowodził, że „w przyszłej Polsce człowiek od człowieka przez żaden sposób zależeć nie może. Jest to wypadek demokratycznych zasad, braterstwa, wolności i równości”. Za pierwszą polską rewolucję społeczną uważał powstanie krakowskie 1846 r.

Drogę wiodącą ku niepodległości dostrzegał nie przez zabieg kancelarii dyplomatycznych, tylko przez powstanie ludowe. W liście do Józefa Zaleskiego z r. 1834 tak wyraził swój pogląd: „Pojęcie moje jest takie, że naród polski inaczej podźwignąć się nie może, chyba na miejscu własnymi siłami; im więcej masa będzie poruszona, tym lepiej, tym skuteczniej, tym gwałtowniej. Nie licząc na żadną pomoc”. Jako okoliczność sprzyjającą przyjmował równoczesny zryw rewolucyjny w krajach europejskich. Na użytek polskich partyzantów dostosował nawet wskazówki strategiczne, oparte na znajomości warunków terenowych: „Kraj płaski, polisty, otwarty, broniony i odzyskany, ocalony być może nagłymi manewrami, szlakami, zagonami. Lasy mogą niepokoić i gnębić nieprzyjaciela. Gonitwy w polu zniszczyć go. Bez wsparcia koniem (tj. jazdą) partyzant będzie więcej czatował niż działał. Nie wszędzie są lasy. A dopóki Czarnieckiego mieć nie będziemy, dopóty na nogach nie stanjemy”.

Nie wierząc w pomoc rządów, opierał rachuby polityczne na współpracy ludów, na internacjonalizmie rewolucyjnym. Wzywał więc Rosjan do walki z caratem, przypominając, że „cienie Pestala i Bestuzewa, Rylejewa i Murawjewa, Kachowskiego i Konarskiego czuwają nad naszym sumieniem... zgiębiają naszą przyjaźń”. Uważając,

że „nie masz przedziału między tymi Rosjanami a Polakami, którzy Kochają wolność”, wołał: „Precz z despotyzmem! Zaczynajcie Rosjanie od siebie, wzniescie ołtarz wolności w miejscu zbyt długo czczonego bałwana i powołajcie do wspólnego działania bratnie ludy, bo wszystkie równie tego pragną”.

W chwili zaś, gdy w czasie Wiosny Ludów wybuch szowinizmu niemieckiego skierował się w związku z zatarciem o Poznańskie przeciw Polakom, Lelewel zwracał się z apelem do parlamentu frankfurckiego, wyciągając w imieniu Polaków dłoń do zgody. Przyminał, że „braterstwo jest to słowo carodziejskie, które wzmacnia przyzwanie ludów i może ustalić pokój, sprawić zamilowanie zasady demokratycznej, zapewnić niepodległość ludów i osób”.

Znamienną cechą Lelewela była wiara w lepszą przyszłość narodu, którą starał się natchnąć emigrantów. „Uteśnione tulactwo — mówił na obchodzie rocznicy listopadowej w r. 1834 w Brukseli — zwraca myśl do rodziny i jej wiarą ukrzepione, nie zgłębia duszą cierpiących, do wytrwałości powołane, woła przed światem: Jeszcze Polska nie zginęła. Mimo negatywnej oceny epoki legionów oraz polityki napoleońskiej, Lelewel doceniał widocznie doniosłą rolę Mazurka Dąbrowskiego w budzeniu uczuć narodowych, zwłaszcza w najtrudniejszych terminach.

W marzeniach tułacza-historyka, który według słów wieszczki narodowej, Mickiewicza „na świętym dziejopisa jaśniejąc urządzie, wskazuje nam, co było, co jest, i co będzie”, powstał obraz przyszłej ojczyzny, wolnej od dawnych wad i błędów, jaśniejącej zdobyczami postępu. W odezwie do ludu polskiego z 23.X. 1844 r. tak zapowiadał: „W przyszłej Polsce każdy sobie będzie panem, każdy będzie miał własną ziemię, bez ciężarów... każdy na siebie zarabiać będzie, a nie jeden na drugiego... Wszyscy zarówno służyć ojczyźnie obowiązani, tegoż prawa używać, też sprawiedliwości słuchać będą”. Głosił wyraźnie: „Umarła Polska szlachecka, Polska niewoli i przywileju, Polska wyobrażona przez jedną

(Dokończenie na str. 8)

Od Tahiti do Szczecina

RYSZARD LISKOWACKI

KORZYSTAJĄC z przerwy podczas szczecińskiego zjazdu pisarzy marynistów wdałem się w rozmowę z człowiekiem w marynarskim ubraniu, z dystynkcjami kapitana na rękawach, z człowiekiem morza. Któż dokładniej, jak nie on, mógł mi wyjaśnić pewne wątpliwości zrodzone w trakcie przysłuchiwania się dyskusji na temat literatury zainteresowanej morzem.

A jednak nie wyjaśnił. Dzielił nas bowiem w poglądach na dyskutowany temat, oibrzymi dystans wytworzony żywymi pojęciami. On był starym wygą morskim, a ja najwyżej lądowym szcurem. Dla niego literaturę marynistyczną była tylko literatura, wywodząca się z morskiego żywiołu, rejestrująca ludzkie sprawy dziejące się na pokładzie. Dla mnie problem morza istniał także poza tym żywiołem i poza pokładem.

Zadałem kapitanowi pytanie: — Oto historia ludzi, którzy przyjechali na Wybrzeże z Rzeszowa i Kielce, z Lublina i Łodzi. Przez całe życie wdziali o morzu tyle, ile nauczono ich z pocztówek i pieśni: „Morze nasze morze... Wiedzieli, że żagiel, że fale, że egzotyka. I raptem ich ludzie zaczęli się uczyć morza od spraw mniej może romantycznych, ale za to niezwykle konkretnych. Poszli pracować do stoczni, do portu. Zwiążali swe życie w nierozwalny sposób ze sprawami morza. Nie groziły im sztormy, ale oni robili wszystko, aby ci, których sztormy spotykają na morzu, mogli się czuć na statkach jak najbardziej bezpiecznie. Nie czekały ich długie morskie podróże, ale oni czekał na lądzie na tych, którzy z podróży powrócą. Dyrgowali życiem statków w porcie, wyposażali je na następne rejsy. Czekali z niepokojem na każdą złą wieść z morza. Zmieniała się ich psychika. Nauczyl się słów, o których kiedyś nie mieli najmniejszych pojęć. Mówili: Supertrawler... Lob mechaniczny. Wiaz maszynowni. Stępka. Wregi.

To już byli ludzie morza, chociaż pod stopami czuli twardą ziemię, a nie chwiejny pokład.

Czy powieść o ich życiu, o głębokich przemianach, jakie zaszły w ich psychice, zanim pod romantyczne słowo, morze, nauczyli się podkładać niesfal-

szowaną treść, czy taka powieść będzie powieścią marynistyczną?

Człowiek w marynarskim ubraniu odpowiedział:

— Nie...

Podczas szczecińskiego zjazdu pisarzy marynistów wielu takich, jak ja, zadało sobie podobne pytanie. Tylko nieliczni mogli sobie bowiem pozwolić na słowa w rodzaju: „jestem autentycznym rybakim”, czy też „nauczyłem się morza w wieloletniej podróży po wszystkich krańcach świata”.

Realny układ sił w sali zamkowej, w której ścierało kopie o właściwe sprezyzowanie słowa: literatura marynistyczna, wyglądał następująco: około dziesięciu pisarzy, którzy od bardzo wielu lat znają morski żywioł. Około pięciu kandydatów na pisarzy, których praktyczna nauka morza trwa rok, dwa. Kilku teoretycznych znawców zagadnień morskich, mających doskonale rozeznanie w bibliografii literatury marynistycznej, ale których morskie podróże kończyły się w Międzyzdrojach lub na Szczecińskim Zalewie. I prawie setka pisarzy, którzy często nawet do Szczecińskiego Zalewu nie dotarli, a ich znajomość światowej literatury marynistycznej jest, mówiąc ogólnie, raczej przeciętna.

Taki układ sił skazywał z góry dyskusję na żywot krótki i niezbyt bogaty. A układ ten nie był przecież wynikiem jakichś przeoczeń w zaproszeniach na zjazd, lecz był prawie precyzyjnym odzwierciedleniem sytuacji panującej na podwórku pisarzy marynistów.

Należało się więc mocno zastanowić, czy programowe ograniczenie tematyki zjazdu wyłącznie do problemów literatury marynistycznej nie jest zbyt ryzykownym wybiegiem w przyszłość. Ostatecznie trudno jest dyskutować o tym, czego prawie nie ma. A w każdym razie nie ma potrzeby zapraszania ponad stu osób, aby im o tym uroczystie zakomunikować. Nie jestem aż takim optymistą, abym mógł przypuszczać, że natchnieni podczas szczecińskiego zjazdu morzem napiszą powieści o sprawach morza — Szewczyk, Klimas - Białutowa, Prorok, Gisges i pozostała wielka grupa etatowych lą-

dowych szcurek, którzy przyjechali do Szczecina z tabletkami przeciw morskiej chorobie i z dreszczykiem emocji z okazji niezwykłej podróży „Lilij Weneta” do Świnoujścia. Trzeba się było więc zdecydować: albo ograniczyć zaproszenia na zjazd do osób, które rzeczywiście interesują się w pracy twórczej problematyką morską i mają coś konkretnego na ten temat do powiedzenia, albo nie nazywać zjazdu zjazdem marynistycznym i poszerzyć jego tematykę o wszystkie inne sprawy nurtujące pisarzy Ziem Zachodnich. Sądzę, że w wystąpieniach mówców więcej byłoby wtedy praktycznych postulatów i mniej teoretycznych rozważań. A tematyka marynistyczna i tak przecież musiałaby stanowić pewien rozdział w dyskusji. Chociażby ze względu na miejsce, w którym odbywał się zjazd.

Wiem, że moje rozważania mogą wywołać ironiczny uśmiech lub gorące protesty wśród nielicznych (niestety) pisarzy marynistów. Zastrzegam się więc, iż doceniłam doskonale „wartość tematyki morskiej w piśmiennictwie współczesnym”, doceniłam chyba nie mniej niż Ministerstwo Kultury i Sztuki czy Ministerstwo Żeglugi. Bo ja w odróżnieniu od przedstawicieli powyższych ministerstw, byłem na tym zjeździe.

Ale doceniłam także każdą inną tematykę mającą podobne jak morska, wartości wychowawcze i estetyczne.

I w tym chyba sęk, że wielu pisarzy marynistów nie może zrozumieć, iż literatura marynistyczna nie stanowi jakiejś odrębnej literatury, podlegającej specjalnym kryteriom oceny. Stawianie tego tematu na prawie świętym, złotym świeczniku, niczego dobrego przynieść nie może. Może natomiast doprowadzić do sztucznego i odległego od współczesnych praw ekonomicznych (literatura także przecież uwzględnia te prawa) ograniczenia problemów morza do żagla i pokładu.

A zapotrzebowanie społeczne? Wiem, że romantyzm dalekomorskich podróży jest wspaniałą możliwością krzewienia wśród szerokiego społeczeństwa tematyki morskiej. Wiem jednak także, że hutnik ze Śląska bardziej interesuje się na

(Dokończenie na str. 9)

Dzień piękny, słoneczny i niezbyt upalny. Autokar minąłszy malowniczo Skole mknął ku jezaj-cym się świerkami wzgórzom, aby wkrótce pięć się serpentynami w górę wyżej ku przełęczy. Przestrzeń się rozsuwała, zakąski piętrami wtapiały do góry, aż wreszcie osiągnąwszy cel wysiadamy z pojazdu.

Tędy biegła dawna granica polsko-czechosłowacka. Na południe rozległy widok na Ruś Przykarpacką. Na dalekich szczytach leżą jeszcze płaty śniegu. Zarysy wierzchołków są śmielane niż w Bieszczadach. Towarzyszący nam leśniczy podaje nazwę przełęczy — Werekoc (czyba Wereszczańska?) i jej wysokość — 1240 metrów nad poziomem morza. Ale jeśli to Wereszczańska, to tylko 841. W ogóle informacja jego są dość bałamutne. Parasolka, której stąd nie widać, ma mieć według niego 1475 m, gdy w rzeczywistości ma tylko 1271.

Ale to nieważne. Są jednak góry, wspaniałe widoki i doskonałe powietrze.

Na małej polance rozłożono obrzniętą watę, w której popiele będą się piec ziemniaki. A ogromna rozłożona na trawie plancka służy za obrus. Siadamy na niej przystępując do obrządków gastronomicznych. Wędliny, sery, masło, pieczywo, rybki, sałatka, woda mineralna i oczywiście aqua vitae. Kartofle później — na deser.

Z tą „okowitą” największy kłopot miał przewodniczący naszej delegacji plastyk nac. Nadulski i niżej podpisany. Rozsądek, względy zdrowotne nakazywały nam umiar, z drugiej strony „nie wypadało” się uchylać. Toteż markowaliśmy picie w różny sposób. Za to Miłkowski wznosił toasty wierszami Gałczyńskiego, a Księżki go mobilizował.

A na przełęczy wciąż nieskończone rozmowy w języku polskim i ukraińskim, toasty („oby nasza przyjaźń była taka mocna, jak te góry”) i śpiewy. Ach, te głosy, niby amatorskie, niby

Pan Mieczysław był poza tym strasznie abnegatem. Z ust nie wyjmował fajki, bardzo mało dbał o swój wygląd zewnętrzny. Mawiał, że każda epoka ma swoje specyficzne zabobony, zabobonem dwudziestego wieku jest higiena. Na nieszczęście był stale zakochany w młodych ślicznych kobietach, z którymi jakoś nie mógł nigdy dojść do porozumienia, co było źródłem wielu zgrzytów i zawodów.

Do końca życia pozostał wierny Lublinowi. Pozostawił po sobie znaczny dorobek naukowy. Okazywał mi dużo sympatii, chętnie się ze mną spotykał. Ja zaś, mając już wtedy za miłowania filologiczne, obficie korzystałem z jego bogatej biblioteki i cennych wskazówek.

Uniwersytet widocznie kiepsko płacił, bo jego profesorowie musieli dorabiać na boku i brać po kilka posad (coś takiego jak dzisiejsze polećta i prace zleczone). Toteż Popławski dodatkowo uczył łaciny w starszych klasach szkoły żeńskiej, prywatnej Wacławy Arciszowej. W tym czasie to jest w latach 1921—25, dyrektorem tej szkoły był nie byle kto, bo sam Julian Krzyżanowski, wtedy jeszcze młody i początkujący naukowiec, dziś gwiazda pierwszej wielkości. Muszę się tu pochwalić, że w tak godnym gronie i ja jeszcze jako student, uczyłem początków łaciny młodzieńcze i ładne dziewczęta. Bo „arciszanki” znane były ze swojej urody.

Już w czasie okupacji Popławski zaniedbał swą specjalność i zaczął pisać wielkie dzieło o charakterze syntetycznym „O głupocie w życiu i sztuce”. Słuchałem kilku rozdziałów, czytanych przez autora w gronie przyjaciół. Przyznam szczerze, że nie zrobiło to na mnie wielkiego wrażenia. Stanowczo wolałem Popławskiego w towarzystwie Greków i Rzymian. Zresztą trudno oceniać całość z kilku oderwanych fragmentów. Prace te przetrwała śmiereć i książka nie została ukończona. Co się stało z rękopisem — nie wiem.

Zaraz po otrzymaniu matury pojechałem na wycieczkę do Kraśnika, gdzie jeden z miodszych braci ojca miał aptekę. Strzy przysłał mnie z otwartymi ramionami. Był to człowiek zacny, obarczony sporą dozą dżiwactw, wtedy jeszcze kawaler, lat około pięćdziesięciu. Apteka mieściła się w małym domu na rynku miasteczka, a nad apteką było mieszkanie dość obszerne, nader oryginalne. Przerobione było ze strychu, okna przypominały średniowieczne strzelnice, a dojeżdżenie było po drewnianych wiejskich schodkach. Umeblowanie staroświeckie, na ścianach szyćchy i portrety, bardzo dużo kwiatów. Byłem z braćmi, Strzy żądał tylko jednego, by punktualnie o pierwszej zasiąść do obiadu, a poza tym pozostawił nam absolutną swobodę. Korzystaliśmy więc z niej z całym młodzieńczym temperamentem i entuzjazmem.

Kraśnik to była podówczas mała, brudna miejscina, lecz okolice malownicze, a poza tym czwartej w całej pełni, mnóstwo kwiatów i zieleni. Świętyni apetyt, wysmienite jedzenie, wesołe towarzystwo. Ładne dziewczęta. Mein Liebchen, was willst du noch mehr?

Nieraz też, już później, ten Kraśnik był dla nas oazą i wycieczką, a nawet podczas okupacji pewną ostoją i oparciem, wiele dopomógł do przetrwania, ale nigdy nie miał już dla mnie tyle uroku i czaru, co pamiętnego lata dwudziestego roku, po maturze.

Znalazła się nawet dla mnie płatna praca. W miejscowym tartaku przy przyjmowaniu drzewa, na powietrzu, nad rzeką, wśród upajającego zapachu żywicy z pilowanych sosen. Nie wymagająca zbytniego wysiłku. W dłuższych przerwach można było czytać, marzyć, a nawet pisać wiersze.

Dobrze mi się powiodło, wspaniale wycpałem, masę przeczytałem (bo stryż miał nie najgorszą bibliotekę), zapełniły się moje poetyckie bruliony. Były to pierwsze wakacje od wielu lat, które spokojnie dobiegły końca.

Jeszcze był urzekający wypad do Kazimierza nad Wisłą, no i powrót do domu.

Po przyjeździe do Lublina trzeba było rozstrzygnąć zasadniczy problem: wyższe studia. Co do kierunku — już się zdecydowałem. Prawo. Nęciły mnie wprawdzie w swoim czasie filologia klasyczna i polonistyka, ale ostatecznie zdecydowały względy praktyczne. Prawo, dawało mi najprędzej możliwość osiągnięcia niezależności materialnej, a jednocześnie nie kolidowało z moimi zamiłowaniami literackimi — jako ostateczny cel już wtedy wyznaczyłem sobie adwokaturę. W moich warunkach i w tamtych czasach była to droga trudna i kosztowna, ale liczyłem na swe siły i wierzyłem, że przy odrobienie jeszcze szczęścia dam sobie radę.

Wiadomo więc było co, ale zostawała nie mniej ważna sprawa: gdzie. Większość moich kolegów udawała się na studia do Warszawy, ale to było połączone z bardzo dużymi kosztami, na które ja nie mogłem się zdobyć. Mieszkać w Lublinie i dojeżdżać do Warszawy też kosztowne i bardzo kłopotliwe. Pozostał więc do dyspozycji Katolicki Uniwersytet Lubelski.

Miał dwie niewątpliwe zalety, że był na miejscu i posiadał Wydział Prawa, ale... Tych ale było bardzo wiele. Wynikały one ze specyficznej pozycji tej młodej uczelni, bez tradycji, bez zaplecza i oczywiście jeszcze bez niezbędnej kredyty zaufania.

Historia powstania KUL-u jest na ogół dostatecznie znana i nie ma potrzeby szczegółowo jej przypominać. Powołana została do życia dzięki kapitałom magnata kresowego Karola Jaroszyńskiego, z inicjatywy wyższego duchowieństwa katolickiego i zblizonego doń szeregu ludzi, których uosobieniem był ksiądz dr Idzi Radziszewski, niestrudzony organizator i pierwszy rektor tej akademii.

Koła katolickie uważały za swój duży sukces uruchomienie w świeżo powstałym Państwie Polskim właśnie tego typu uczelni, boć przecie na całym świecie katolickich uniwersytetów jest raczej niewiele. Dlatego jako miasto najbardziej odpowiednio został wybrany Lublin — nie wiem, musiały być po temu istotne i poważne racje, skoro mimo braku odpowiedniego pomieszczenia, środowiska naukowego i innych licznych trudności, ulokowano jednak Uniwersytet w Lublinie.

Co prawda gdy w późniejszych latach powstał w Polsce poważny ośrodek jezuitki, tak zwane „Bobolanum” — miejsce swe znalazł także w Lublinie.

Ba, na parę lat przed drugą wojną światową wyrósł też w Lublinie oka-

zali gmach Jeszycybotu, wyższej szkoły talmudycznej, której zasieg działania miał być ogromny. Pamiętam, że na otwarcie tej uczelni zjechali się naj-sławniejsi rabin i cadycy z całego świata.

Widocznie było coś w naszym mieście takiego, co sprzyjało powstaniu i rozwojowi uczelni duchownych dużego formatu, niezależnie od wyznania.

Natomiast KUL w chwili powstania nie zyskał sobie uznania i poparcia ówczesnych władz polskich. Nie tylko że nie otrzymał żadnej pomocy finansowej, ale został pozbawiony wszelkich uprawnień i przywilejów wyższej uczelni — nie miał mianowicie prawa nadawania wszelkich stopni naukowych, a nawet wydawania dyplomów. Dla studiujących teologię i prawo kanoniczne, to znaczy ściśle mówiąc dla księży, problemy te właściwie nie istniały. Absolutorium lub nawet odpowiednio wypełniony indeks u władz duchownych miał pełne uznanie i absolwent nie potrzebował niczego więcej. Pół biedy było jeszcze z humanistyki; wobec braku wykwalifikowanych nauczycieli, nie oglądano tak dokładnie dyplomów i wymagania były łagodniejsze. Ale prawo — jasną było rzeczą, że ukończenie studiów bez otrzymania uznania przez państwo dyplomu zamykało faktycznie drogę do jakiegokolwiek poważniejszych osiągnięć.

KŁOPOTY Z NAUKĄ KONRAD BIELSKI

Obiecywano, że to się jakoś załatwi. I rzeczywiście po pewnym czasie uzyskano komisję egzaminacyjną państwową. Po przesłuchaniu w Lublinie potrzebnych przedmiotów i zdaniu egzaminów wewnętrznych można było stanąć przed tą komisją, utworzoną z ramienia Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie, a składającą się ze znanych tamtejszych profesorów. I po raz drugi przed obliczem tej Komisji o wielkich wymaganiach trzeba było zdawać te same przedmioty. To dawało możliwość uzyskania tytułu magistra, nadanego przez Uniwersytet Lwowski. Jeśli zdających zebrała się większa ilość, Komisja zjeżdżała do Lublina, jeśli nas było mniej — trzeba było jechać do Lwowa.

Wydział Prawa we Lwowie stał na bardzo wysokim poziomie, a profesorami byli wybitni uczeni o głośnych nazwiskach, toteż wymagania były poważne. Trzeba się było uczyć na nowo z innych skryptów i podręczników.

Ot, na przykład, prawo kościelne. Był taki podręcznik, który wystarczyło opanować jako tako, by u prof. ks. Walskiego uzyskać dobry stopień. Ale ten sam zapas wiedzy u profesora Abrahama nie kwalifikował się nawet do wstępnej rozmowy, poprzedzającej właściwy egzamin.

Prawa rzymskiego, jednego z najważniejszych, przedmiotów, uczył w Lublinie adwokat Flodorowicz. Piękny mężczyzna, elegancki, o sumiastych, złotych wosach, zblazowany i zawsze znużony. Dojeżdżał z Warszawy, gdzie miał podobno rozległą praktykę w sprawach handlowych. Jakże były jego kwalifikacje naukowe i profesorskie w dziedzinie rzymskiego prawa — nie wiem. Zdaje mi się, że nie posiadał żadnego poważniejszego dorobku naukowego. Prawdopodobnie zajmował tę katedrę na zasadzie, że na bezrybiu itd. Wiele było wtedy takich p.o. profesorów. Tak, ale nam studentem stanąć później przed obliczem prof. Chłamtacza lub Pińskiego — to już nie były żarty. A Makarewicz? Dąbkowski?

Przenieść się w toku studiów na inny uniwersytet — to znaczyło stracić dotychczas przelichane semestry, gdyż nie zaliczano nic.

Opowiadano, że jakiś uroczysty staruszek w kancelarii Uniwersytetu Jagiellońskiego z oburzeniem potraktował jednego takiego petenta. „Mój panie, siedemdziesiąt lat żyję na świecie, ale o uniwersytecie lubelskim nie

słyszałem. Wypraszam sobie podobne żarty”.

Nie więc dziwnego, że wobec tych trudności na prawo zapisywali się na razie tylko niecierpliwi, którym sytuacja materialna lub inne ważne względy nie pozwoliły studiować gdzie indziej.

Do tych ostatnich należałem i ja. Rzyzykowałem wielkie trudności w zamian za mieszkanie, wikt u matki oraz duże możliwości zarobkowe. Te możliwości okazały się nawet znacznie większe niż wtedy przypuszczałem. A więc na jesieni 1921 roku zapisałem się na KUL.

Uniwersytet nie miał jeszcze własnego pomieszczenia. Kozystał z gościny seminarium duchownego. Gmach nieduży, zimny i nasiąknięty specyficzną wonią zakrytych. Nadmierna ilość księży i zakonników, snująca się po refektarzach i parlatoriach, zastępujących sale wykładowe, pogłębiała nastrój klasztorny.

W styczniu 1926 roku bawił w Lublinie ówczesny Naczelnik Państwa Józef Piłsudski. On to w czasie tej wizyty podarował KUL-owi kompleks budynków wojskowych, w których się podówczas mieścił szpital. Niedługo po tym był tam klasztor i zakonnicy, a więc ta darowizna miała charakter restitucji in integrum. W tych to budynkach, po dokonaniu wielu remontów i adaptacji, mieścił się po dzień dzisiejszy Katolicki Uniwersytet Lubelski.

Młodzieży świeckiej było sporo i bardzo różnorodnej, szczególnie pod względem wieku. Zwykle tak bywa, gdy wojna i zawierucha dziejowa poczyni długie przerwy w normalnym życiu. A tu jeszcze dochodziło zjawisko całkiem nowe: powstanie Państwa Polskiego. Nic więc dziwnego, że do wyższych studiów garnęli się wszyscy, którzy dotychczas nie mieli możliwości. Toteż kolegami moimi byli i ci najmłodsi, zaraz po maturze, i ci znacznie starsi, którzy mieli już za sobą długoletnią służbę wojskową lub sprawowali poważne funkcje w administracji kraju.

Katolickość uniwersytetu między innymi przejawiała się w tym, że przyjmowano tylko studentów wyznań chrześcijańskich. Było więc kilku prawosławnych — wśród których mile zawsze wspominałem znanego koleżę i świetnego kompana Michała Turgeniewa, krewnego wielkiego pisarza, a którego szwagrem był znany poeta rosyjski, Andrzej Biełyj (jego znakomita książka „Świecibłannyj gołub” była wtemczas dość dużym wydarzeniem literackim) — było paru ewangelików i katwinów, a ponieważ z wyznań niechrześcijańskich nie było u nas mahometan ani buddystów, zakaz ten ograniczał się praktycznie tylko do Żydów. Żydów na uniwersytecie lubelskim nie przyjmowano.

Oficjalnie uniwersytet głosił tolerancję i daleko idącą wyrozumiałość. Widocznym symbolem tej tolerancji miał być profesor Baudouin de Courtenay, znany w Polsce wolnomyśliciel i ateista. Rzeczywiście jego wykłady, na które dojeżdżał z Warszawy, cieszyły się dużym powodzeniem wśród młodzieży postępowej, gdyż profesor uzupełniał suchy temat (wykładał sanskryt) żywymi i ciekawymi dygresjami. Niedługo jednak te wykłady trwały, a później już nigdy na uniwersytecie nie spotkało się podobnego człowieka.

Było poza tym sporo ludzi ciekawych i wybitnych wśród wykładowców. Niektórzy z nich stawiali dopiero pierwsze kroki, lecz byli i tacy, którzy mieli nie najgorszy dorobek naukowy. Na filologii polskiej wyróżniali się osoby profesorów Hahna i Porzezińskiego, klasyka szczyliła się profesorem Stefanem Srebnym, który czarował słuchaczy pięknymi wykładami. Prędko porwał go Wilno. Dalsze dzieje jego świetnej kariery naukowej znane są chyba wszystkim.

Na wydziale tym stawiał pierwsze kroki Mieczysław Popławski, uroczy dziwak, utalentowany naukowiec. Ponieważ był wówczas stosunkowo młody, kilku z nas znalazło z nim wspólny język i bardzo się zaprzyjaźniło. Popławski był chory na gruźlicę, stan jego zdrowia był ciężki, miał częste krwotoki. Lekarze rozkładali ręce, a przyjaciele kiwali głowami mawiając: „szkoda go, taki inteligentny, taki utalentowany i musi niebawem umrzeć”. Popławski wbrew wskazówkom lekarzy jako zasadnicze lekarstwo stosował koniak i wódkę w dawkach bynajmniej nie homeopatycznych, na przykład wszystkim przeżył jeszcze długie lata, wojnę i okupację, połączoną z pobytem w więzieniu, i umarł po wojnie na raka, całkowicie wyleczony z gruźlicy.

PRZEKŁADY KAZIMIERZA ANDRZEJA JAWORSKIEGO

WOŁODYMYR ŁUCZUK

Wierność

Słońce w uśmiechu.
Słońce słucha rzewnie
mojego serca pieśń.
Słońce
się aż po uszy
zakochało we mnie

a ty cóż,
choćby troszeczkę, —
ani rusz.

Bo ty nie serce masz, lecz kamień,
bo na twym sercu — lód.
Tyś
ni spojrzeniem, ni rękami
nie ogrzała mnie nigdy...
A stał się cud!

Bo swą miłość
niosę przez ziemię
na ramionach
jak olbrzymią kłodę.
Kilim wierszy
pod negi ściegę
wysławiając twoją urodę.

Może usta — smak brzoźowych soków.
Może usta — gorycz piołunowa.
I przeklinam siebie często:
— Dokąd?
Dokąd jedną tylko mam miłować?!

Są dziewczęta,
jak gwiazdy mrugają,
co darują
miłości żar.
Do ich duszy,
ścieżek nie szukając,
wejść bym prędko mógł przez lada
[żart!...]

Ale jak mi,
choć się staram,
ciernie marzeń
wyrwać jak chwast.
Miłość przecież
to nie ogarek,
który zdepczesz — i ogień zgasi.

Uzuć molch —
mam mocną wiarę —
nie zatrze błęgi ni zim, ni lat.
Ja w bagnisko wdepczę niewiarę —
ten najstraszniejszy
z wszystkich — jad.

DMYTRO PAWŁYCZKO

Przypowieść o słońcu

Leżało słońce w cichym brodzie.
A cała armia szła w pochodzie.
Żołnierze w ciężkich swych buciskach
Chcieli zdeptać słońca błyski.
Przeszli surowi i nieczuli
i zamęcili słońce w mule.
Nie upłynęła jedna chwila —
Słońce jak dziecko się przymilla.
Konnica szła niesamowita,
Z słońcem zderzyły się kopyta
I te na strzępy je porwały.
Jak wodnej lilii kwiat nieśmiały.
I w dal szkarłatną odjechało,
Pozostawiając słońce z raną.
Nie upłynęła jedna chwila —
Słońce jak dziecko się przymilla.
Za czołgiem sunął czołg z hurkotem.
Zmieszały słońce razem z błotem.
Skręciły z niego złote sznury,
Na taśmach ciągnąc je do góry,
I rwaly, rwaly je jak żyły,
Ni kropli mu nie zostawiły.
Nie upłynęła jedna chwila —
Słońce jak dziecko się przymilla.

Przypisy tłumacza

ROZTYSLAW BRATUŃ — ur. w r. 1927. Autor zbiorów: „Wrzesień” (1949), „Swity” (1950), „Pieśń o wolności” (1953), „Ogień” (1956), „Lwowski brząsk” (1956), „Jestem synem Ukrainy” (1958) i „Kwiat georginii” (1960). Przełożony wiersz pochodzi z ostatniego tomiku.

DMYTRO PAWŁYCZKO — ur. w r. 1929. Autor zbiorów: „Miłość i nie-nawieść” (1953), „Moja ziemia”, (1955) „Bystrzyca” (1959) i „Na czatach”

ROZTYSLAW BRATUŃ

Lubię bardzo chwile świtu...
Obłoczków flota w dal płynąca,
Sięgając horyzontu końca
Błyszczy ogniami chryzolitów,
Od pierwszych wodotrysków słońca
Rzeka rozlała się błękitu...

Ja kocham tak radości ziemię
Za pracę i za dziewczętą pieśnią,
Za pokonanie nocy pleśnią!
Ja czułość podług męstwa cenię,
Cheć, by świat cały świt rozelił!

Ja kocham tak młodości ziemię!

ANTON SZMYGIELSKI

Rysunek

W pamięci obraz twój zachowam,
Słowiańskim pięknem urzekł oczy —
Ta dumnie podniesiona głowa
W koronie jasnych twych warkoczy.

I błękit oczu, ich przejrzystość,
W których się złoto isker mieni,
I ręce zdolne robić wszystko
Latwo i wprawnie bez zmęczenia.

Lubię te ręce. Patrzę na nie.
Dłoń twa po czółku dziecka płynie.
A gdy się uśpiśz kołysaniem,
Grasz Czajkowskiego na pianinie.

(1961). Przetłumaczony wiersz wyjęty z ostatniego tomiku.

ANTON SZMYGIELSKI — Poeta starszej generacji, ur. w r. 1901. Autor zbiorów: „Młodość” (1927), „Pochód” (1933), „Dworce kolejowe” (1936), „Złota pora” (1946), „Rozkaz serca” (1955) i in. Przełożony wiersz pochodzi z utworów wybranych poety „Pełnolecie” (1958).

WOŁODYMYR ŁUCZUK — Ciekawie zapowiadający się poeta młodej generacji, w r. 1934. Jego debiut książkowy „Ufność” ukazał się w r. 1959.

nie wyuczone, a jakie piękne, jak zestrojone z otoczeniem! Bo śpiew to ich żywioł. Któryś z ukraińskich kolegów powiedział: „Bez chleba Ukraińiec żyć potrafi, ale bez pieśni umrze...”

I cały ten dzień, najpiękniejszy z pięciu spędzonych na ziemi lwowskiej, kojarzy mi się z górami i alkoholem, który nie upijał, tylko katalizował głosy, ale nie do znanych nam tak dobrze rodzimych ryków („sto lat”), lecz do harmonijnego śpiewu, do naprawdę artystycznego wykonania to wzruszająco smutnych, rozlewnych, to znów skocznych i wesołych piosenek.

A sami ludzie? Prości, bezpośredni, ujmująco serdeczni i gościnni. Żadnej oficjalności. Nie mówię już o kolegach — poetach i ich uroczych żonach, artystkach i dziennikarzach. Oficjalności nie wyczuwało się nawet ze strony przedstawicieli rad narodowych i partii. Wprawdzie przewodniczący Rady Narodowej w Skolem oficjalnie przedstawił się nam w swym mieście wsiadając wraz z leśniczym do naszego autokaru, ale na przełęcz, gdzie występował jako gospodarz terenu, i na dłuższym odcinku drogi powrotnej cały czas uprzyjemniał nam swoim wspaniałym głosem.

Rzecz zrozumiała, że najbardziej interesowali mnie literaci, z którymi nasza grupa zetknęła się na kolacji w Klubie Pisarzy.

Michał Rudnicki, doskonale mówiący po polsku (nazwisko znane mi dobrze z lwowskich przedwojennych pism literackich), profesor uniwersytetu, anglista i krytyk literacki, wydał przed dwoma laty książkę „Pisarze z bliska”, w której m.in. znajduje się interesujący rozdział o Boyu Zeleńskim, związany z pobytom jego we Lwowie podczas wojny. Rudnicki doskonale orientuje się w literaturze polskiej, znał wielu naszych pisarzy i nosi się z zamiarem napisania o nich wspomnień. A przecież ze Lwowem wiąże się nie tylko nazwisko Konopnickiej i Zapolskiej, które spoczywają na cmentarzu Łyczakowskim, ale i Staffa, i Grabińskiego, i Ostapa Ortwiną i tylu innych, z którymi Rudnicki się stykał. Byłaby to bardzo ciekawa książka, tym ciekawsza, że napisana przez Ukraińca.

Rozmawiałem i z Ireną Wilde, nowelistką i powieściopisarką, z której nazwiskiem tak samo spotykałem się przed wojną.

Włodzimierz Grzycki pokazywał mi swą książeczkę, wydaną w Kijowie w (Dokończenie na str. 6)

NA wydziale prawa zespół wykładowców nie był najświetniejszego gatunku. Nic w tym dziwnego. Przed wojną istniały tylko dwa polskie uniwersytety — w Krakowie i we Lwowie. Wprawdzie oba znakomite i z wielkimi tradycjami, lecz za szczupłą była to kadra, żeby obsłużyć wszystkie nowo powstałe wyższe uczelnie na terenie państwa... A już do Lublina udawano się niechętnie. KUL był mało atrakcyjny.

To też radzono sobie w sposób rozmaity. Trzeba było przecież obsadzić szereg katedr, by wydział mógł funkcjonować. Część wykładowców rekrutowała się z Lublina. Byli to albo tacy, którzy szli już drogą naukową, ale dalsze studia przerwała im wojna, a los ich osadził w Lublinie, albo członkowie miejscowej magistratury, o dużym zasobie wiedzy praktycznej i szerszych aspiracjach. Większość jednak stanowili dojeżdżający prawdziwi profesorowie z innych uniwersytetów, przeważnie ze Lwowa.

Istniał oczywiście pewien antagonizm między kadrą zawodową i, że tak się wyrazi — amatorską. Niejeden z tych „amatorów” posiadał olbrzymi zapas wiadomości praktycznych i choć zdaje mi się, że żaden z nich nie zrobił kariery naukowej, to jednak przy dobrych chęciach można się było wiele od nich nauczyć. Taki na przykład rejent Modrzewski wiedział o hipotezie absolutnie wszystko, a była to nielatwa dziedzina.

Świetnym praktykiem w zakresie procedury cywilnej był sędzia Łukasiewicz. Gdy jednak na egzaminie państwowym u profesora Stefki student nieopatrznie się wygadał, że uczył się ze skryptów profesora Łukasiewicza, taką usłyszał odpowiedź: „Być może, że pan Łukasiewicz tak twierdzi, ale nauka jest zupełnie odmiennego zdania”.

Stosunkowo wielu na prawie wykładało księżki i to przedmioty o charakterze światopoglądowym (logika, etyka, polityka społeczna, socjologia), no ale uniwersytet był przecie katolicki.

W związku z obsadzeniem katedr i poszukiwaniami profesorów chcę przypomnieć jeszcze pewne zdarzenie. Mianowicie postanowiono, że należy uruchomić katedrę medycyny sądowej, która wtedy była wykładana przy wydziale prawa. W Warszawie wykładał Grzywo-Dąbrowski, w Krakowie prof. Olbrycht. A więc należało tę dyscyplinę wprowadzić i w Lublinie. Rozejrzano się najpierw wśród miejscowych kandydatów. Wreszcie wybór padł na dr. Michała Voita. Był to młody lekarz o dużym zasobie wiedzy, otarty o kliniki Wiednia i Berlina, posiadający poza tym kolosalną praktykę. Ponieważ był to człowiek bardzo popularny i lubiany, na wykładzie jego inauguracyjnym wielka aula nie mogła pomieścić słuchaczy. Przyszli studenci również z prawa kanonicznego i innych wydziałów, na sali było pełno sutann i habitów. Starszyzna uniwersytetu stawiała się też w komplecie.

Temat wykładu zacerpnął nowy profesor z dziedziny psychopatologii seksualnej i przez godzinę opowiadał dokładnie i szczegółowo, z drobiazgowością niemal pedantyczną, o zbożeniach płciowych. Wykład ten wygłoszony w dodatku barwnie i z dużą swadą wielkie uczynił wrażenie, tak wielkie, że przedmiot ten po niedługim czasie został skreślony. Podobno brak prosekutorium i odpowiedzialnej bazy doświadczalnej stały się oficjalną przyczyną skaśowania tej dyscypliny.

Ciekaw jestem, czy obecny profesor Akademii Medycznej dr. Voit pamięta te swoje pierwsze kroki pedagogiczne.

Przypomnia mi się inny wykład inauguracyjny prof. Michała Orzęckiego. Dojeżdżał on z Warszawy i wykladał nam teorię i filozofię prawa. Nie pamiętam, co miało być właściwym tematem wykładu, temat ten został potraktowany jako pretekst. Profesor mówił porywająco i pięknie o Jacku Londonie. Należy nadmienić, że w owych latach Jack London był w Polsce prawie nie znany. To też wszyscy z zapartym tchem wysłuchali historii

tej fascynującej postaci, wypowiedzianej doprawdy znakomicie.

Wykłady prof. Orzęckiego były dla nas bardzo interesujące, ale niepodobne do innych. Właściwy temat naukowy uważał za pretekst, za kanwę, na której rozciągał barwne, ciekawe dygresje, wysmienienie podane. Człowiek ten posiadał świetną pamięć i ogromną erudycję o charakterze encyklopedycznym, a przy tym niepośledni talent krasomówczy. Wykłady jego stały się niecodziennym wydarzeniem, przychodzili na nie studenci z innych fakultetów, a nawet sporo ludzi z miasta. Uważał się za ucznia, kontynuatora Petrażyckiego i sporo czasu poświęcał osobie tego wielkiego uczonego. Egzamin Orzęckiego traktował jako sprawdzian inteligencji, nigdy nie było wiadomo, o co zapyta, i nawet największe „kujony” odchodziły od niego z dwojami. Studenci jednak bardzo go lubili, jak oceniali jego pracę naukową, nie wiem, przypuszczam, że niezbyt wysoko, gdyż niewątpliwie kariery naukowej nie zrobił. Nie zostawił po sobie żadnego poważnego dorobku. Widocznie nie umiał się pomieścić w ścisłych rygorach, temperament go ponosił, zbyt szeroką miał skalę zainteresowań.

Orzęcki był ponadto adwokatem i ku swemu wielkiemu zdumieniu tam także nie osiągnął takiej pozycji, na jaką zasługiwał.

Byłem świadkiem jego obrony przed Sądem Apelacyjnym w Lublinie niejakiego Hrohorowicza, ziemianina z kresów, oskarżonego o zabójstwo matki. Była to sprawa wyjątkowo trudna do rozwikłania, zagmatwana, o niecodziennym sensoryjnym stanie faktycznym. Oskarżony w pierwszej instancji skazany został na karę śmierci.

Orzęcki rozegrał tę partię po mistrzowsku. Wspaniale przeprowadził badanie świadków (w drugiej instancji odbywał się cały przewód sądowy pozornie), wydobyl wszystkie szczegóły, pozornie drobne i niezauważane, które później okazały się niesłychanie ważną dla ustalenia prawdy material-

nej. Obronę swą ukoronował znakomitą mową, w której z nieodpartą logiką udowodnił swoje tezy. Mowa ta również pod względem formy stała na najwyższym poziomie. Tyle słyszałem w życiu świetnych obron znakomitych adwokatów, tak, niewątpliwie, ta obrona Orzęckiego należała do tych najlepszych.

Pamiętam, że sala rozpraw, wypełniona do ostatniego miejsca, całkowicie była pod sugestią słów obrońcy. Gdy w pewnym momencie, polemizując z prokuratorem, użył takiego zwrotu retorycznego:

„Pan prokurator powoływał się niejednokrotnie na matkę oskarżonego — niech wejdzie. — i nie wiem, czy będzie wdzięczna prokuratorowi za to, że o jej synu to powiedział”.

Przy słowach: „niech wejdzie”, po partych właściwym gestem i odpowiednio zawieszonych, absolutnie cała sala nie wylaczając prokuratora, kompletu sądownego, zwróciła oczy ku drzwiom wejściowym jak gdyby rzeczywiście nieboszczyk miał wejść za chwilę na salę, by dać świadectwo prawdy.

Wynik zapadł niewinniający. I ten pasjonujący proces i świetny sukces nie znalazł właściwego echa i nie przyniósł obrońcy zasłużonej sławy.

Orzęcki lubił młodzież — kilku z nas (między innymi ja i Gralewski) zbliżyło się do niego, chodziliśmy nieraz z nim do restauracji na lampkę wina i długie pogawędki.

Niedługo przed wojną odwiedziłem go w Warszawie. Rozmawialiśmy długo i poważnie. Jakby w przeczuciu bliskiej katastrofy mówił o swych osiągnięciach i dotychczasowym życiu. Skarzył się właśnie na to, że w adwokaturze (na karierę naukową, zdaje się, machnął ręką) nie można osiągnąć czolowego stanowiska.

Było to nasze ostatnie spotkanie. W czasie okupacji Michał Orzęcki został zamordowany przez Niemców.

Konrad Bielski

„Mieszkamy w krytycznych mieszkaniach. Zupewnie dachy pogniły leje się nam na głowy i sufity gniją klatki schodowe grożą zawaleniem... jak przyjdzie jesień, to w mieszkaniach przyjdzie się kapać a w podwórku ptywać...”

Osiemnaście podpisów

„Melduję posłusznie panie przodowniku, że przez środek podwórka płynie śmierdzący rynsztok.”

(meldunek przedwojennego posterunkowego)

„W wyniku pożaru, spaliła się belka stropowa, klatka schodowa w każdej chwili może runąć.”

(—) administrator domu.

TECZKA dokumentów z archiwum Wydziału Budownictwa MRN. Sprawozdania komisji budowlanych i meldunki poljeji. Podania o przyspieszenie remontu walącego się domu, próby o pozwolenie na dokonanie drobnych przeróbek. Ciągająca się latami walka o zlikwidowanie cuchnącego stępu, o jakąś stertę ziłomu w kącie podwórza. Historia domu i jego mieszkańców. Interesujące studium charakterów ludzi i kamienia.

Budynek przy ulicy Buczka został wpisany do ksiąg wieczystych pod numerem hipotecznym Tatary Łąka Nr... Karierę swoją rozpoczął pod koniec XIX czy na początku XX wieku jako fabryka cykorii. Wkrótce znalazł w nim także pomieszczenie młyn elektryczny. Z dokumentów znajdujących się w teczkę Wydziału Budownictwa wynika, że młyn często zmieniał właścicieli, a jeszcze częściej nazwę. Widać nie był zbyt rentowny. Po „Nowości” był „Młyn Zamojski”, a później jeszcze — „Gloria”. Zdaje się, że pod tą ostatnią nazwą przynosił właścicielom więcej chwały niż zysku. Przetwał jednak do drugiej wojny światowej, kiedy został przez Niemców skasowany.

Natomiast fabryka cykorii szybko, bo już w okresie pierwszej wojny, została przerobiona na mieszkanie. Od tej chwili wyraz „budynek” coraz częściej zastępowano wyrazem „dom”.

DOM jest cofnięty daleko za bramę wjazdową. Dostępu do niego broni błotnista plac i nieprzyjazne spojrzenia niezbyt schludnej dozorczyń. Front domu zajmują magazyny i warsztaty rzemieślnicze. Sterty żelaza, komórki i śmietniki dopełniają widoku. Brudną, odrapaną ścianę budynku tam gdzie najwięcej kałuż i błota, przerywa nagle ciemny otwór. To druga brama. Przez niski śmierdzący tunel, którym kiedyś wyjeżdżały wozy z mąką, wchodzi się na właściwe podwórko, mały niebrukowany plac, zamknięty ze wszystkich stron kilkukilowymi murami.

„Podwórko jak z włoskich filmów” — wyraził się o nim jeden z mieszkańców domu. Miejsce spotkań i wypoczynku. Miejsce milej pogawędki. Klątwa i awantury, do których z reguły przylatują się cała kamienica. Miejsce czujnej obserwacji dla wszystkich gospodyń. Tutaj, na sznurach rozwieszonych przez całą długość podwórka, najlepiej schnie bielizna. Tutaj, z czterdziestu zaplaskwionych mieszkań, zbiegają się dzieci na wspólne zabawy. Podwórko — pępek świata ubogich.

Czworoboczna zabudowa pozwala zaglądać w okna sąsiadów. Życie mieszkań widać doskonale. Dawne hale produkcyjne zostały podzielone cienkimi drewnianymi przepierzeniami na płatniny mieszkań — kłitek. Doskonale słychać każde głośniejsze wypowiedziane słowo w sąsiednim mieszkaniu. Tak więc, nie ma w tym domu tajemnic. Wszyscy wiedzą wszystko o wszystkich. Tutejsi mieszkańcy to w większości robotnicy, stróże nocni, drobni rzemieślnicy i tacy, których źródła zarobków trudno bliżej określić. Po

powrocie z pracy zamykają się w czterech ścianach swojego podwórka. Rzadko chodzą do kina, książka nie jest dla większości rozrywką. Same tylko plotki i awantury nie wypełniają życia. Dlatego pod bokiem istnieją innego rodzaju „atrakcje”. Gdzieś w pobliżu, otoczony tajemnicą, solidarnie strzeżony przed niepowołanymi oczyma prosperuje tak zwany „burdelik dla biednych”, do którego wstęp mają tylko wtajemniczeni. Dwoje starszusków daje przytułek „kuzynkom i siostram cioteczynom”. Kilka z nich mieszka

MIEJSCE MILEJ POGAWĘDKI

MIROSLAW DERECKI

na stałe, kilka „dochodzi”. W okolicy można dostać także wódkę „po cichutku”. „Punkt sprzedaży” jest czynny tylko w nocy. Litr wódki waha się wtedy w granicach trzystu złotych.

ZAJRZYJMY do niektórych mieszkań. Zofia codziennie o szóstej rano, bez względu na porę roku, wychodzi na plac targowy na Podzamczu. Ta czterdziestoletnia kobieta handluje czym się da. W okresie Wielkanocy są to baranki z gipsu i bazi, kiedy indziej świeczki na choinkę albo lampki na groby. Kupowaną w aptece wate rozklepuje na cienkie płyty i tak spreparowaną sprzedaje „na koldry”. Groszowe zarobki muszą wystarczyć na utrzymanie rodziny. Mąż Zofii, Józef był kiedyś murarzem. Po wypadku na budowie został inwalidą. Ma sztywną nogę. Pomimo że mógłby znaleźć łatwo jakieś zajęcie, nie chce więcej pracować. Uważa, że jego kilkusetzłotowa renta inwalidzka stanowi dostateczny wkład w utrzymanie rodziny składającej się z pięciu osób.

Około godziny szóstej wieczorem Zofia wraca do domu. Po drodze za zarobione pieniądze kupuje kartofle (przez cały tydzień rodzina żyje kartoflanką, tylko w niedzielę jedzą „mięso” z wymion krowich), papierosy i konieczną butelkę „polskiego barażu” — najtańszego czerwonego wina owocowego. Oboje, mąż i żona, są notorycznymi pijakami. Wódki jednak nie piją. „Berbelucha” całkowicie zaspokaja ich potrzeby. Kiedy kilka miesięcy temu ciężko chora Zofia przebywała w szpitalu, personel nie mógł zrozumieć, jak to się dzieje, że niemal codziennie jest nienaturalnie podniecona. Wreszcie okazano się, że „troskliwa” rodzina w czasie wizyt przemycala w termosie „herbatkę”.

Trójka dzieci pozostawiona jest własnemu losowi. Podobno kiedyś chciała je zabrać do Domu Dziecka Opieka Społeczna, nie wiadomo z jakich powodów zamierzenie to nie zostało nigdy zrealizowane. Najstarsza, dwudziestoletnia córka zmarła niedawno po Heine-Medina. Dwoje najmłodszych — dziewięcioletni Janek i trzynastoletnia Stasia — pomagają matce w handlu. Do ich obowiązków należy także kupowa-

nie i przynoszenie do domu alkoholu, kiedy rodzice urządzają jakąś większą „libację”.

Jest jeszcze jedna córka. Ale ta bierze niewielki udział w życiu rodziny. Szesnastoletnia dziewczyna, „ochrzczona” przez sąsiadów przezwałkiem „Głupia Maniuśka”, do późnej nocy przebywa poza domem. Szuka towarzystwa mężczyzn. Gorzej, że i młodszą siostrą (zupełnie normalną) zaczyna podobno powoli wstępować w jej ślady.

„Jak się baby nie bje, to w niej wątroba gnije” — twierdzi Józef. Zasadę tę wprowadza w czyn dość często. Zofia od czasu jednej z bójek nie słyszy na lewe ucho.

Bywają chwile, kiedy żona z takich czy innych względów zaczyna ograniczać dostawy alkoholu. Wtedy, jeżeli groźby, przekleństwa i bicie nie pomagają, Józef ucieka się do szantażu. Wykazuje w tym względzie niespotykaną pomysłowość. Na przykład zimą, podczas największych mrozów zalewa w kuchni palenisko, otwiera okna oraz drzwi do niezamieszkałego lodowatego pokoju nazywanego przez rodzinę „izbą wytrzeźwień”, zdejmując koszulę i z zadowoloną miną spaceruje po mieszkaniu. Dzieci marzną. Nie wolno im jednak wyjść ogrzać się u sąsiadów. Po kilku minutach Józef uzyskuje zamierzony skutek. Żona przynosi butelkę wina.

Ci ludzie twierdzą niekiedy, że się kochają. Ona, ciężko chora, utrzymuje cały dom, on zdając sobie doskonale sprawę z jej stanu zdrowia obrzuca ją epitetami w rodzaju — „ty raku”

OBOK nich mieszka inne małżeństwo. A raczej były małżeństwo. Nie mogli ze sobą wytrzymać — wzięli rozwód. Każde zaczęło urządzać sobie życie po własnej myśli. Pomimo rozwodu, muszą jednak mieszkać pod jednym dachem — atrakcyjności mieszkaniowe. Często zagląda tutaj milicja.

Umiędzy wiekiem każdego z pozostałych pięciorga nie ma więcej jak rok różnicy. Ojciec ma lat trzydzieści, matka dwadzieścia osiem. Żona zajmuje się domem i dziećmi, mąż zarabia tysiąc dwieście złotych miesięcznie.

DWIE ostatnie rodziny są jak najbardziej typowe. Mało się o nich mówi. Lepiej opowiadać na podwórku o innych, o wiele bardziej „atrakcyjnych”.

— Proszę pana — sąsiadka opowiada z błyskiem w oczach — jak on poszedł do więzienia, zakochała się w jego bracie. On jakoś wcześniej wrócił z tego więzienia, jakaś amnestia czy tam co i złapał ich „na gorącym uczynku”. To on ją ma się rozumieć wyrzucił z domu, ale później sprowadził z powrotem, tak ją kochał, ale powiedział, że żył z nią nie będzie. To ona powiedziała, że jak tak, to ona też nie. No i niech pan sobie wyobrazi, cztery lata już przeszyli i nie. Mówią, że im ambicja nie pozwala. Honorowi.

PODWÓRKA są podszewką ulicy. Za tynkowanymi fasadami jej domów toczy się często całkiem odrapane życie, którego nie można przeniknąć i opisać dokładnie. Co najwyżej, można sporządzić szkic sytuacyjny. Mieszkańcy tych podwórek są podejrzliwi. Twierdzą, że jest im dobrze z tym, co mają. Czasem jest to wstyd przed ukazaniem ciężkich warunków, w jakich żyją. Często jednak za upartym, solidarnym milczeniem kryje się przestępczość.

TRZEBA bardziej zwracać uwagę na miejsca milej pogawędki.

Mirosław Derecki

Góry pieśni i ludzie

(Dokończenie ze str. 5)

r. 1930 — przekład „Ojca zadziurnych”. Tłumaczył i inne utwory Słowackiego i coś niecoś Mickiewicza. Przed rokiem wydał opowiadanie „Pomsta”, którego akcja rozgrywa się na Syberii.

Prozę uprawia również zastępca redaktora „Zwrotnia” (Kozłanówka w czasie naszej bytności we Lwowie nie było) Piotr Ingulski. Przed dwoma laty ukazał się zbiorek jego opowiadań „Nie smuć się, mamo”.

A poeci? Rozcisław Bratuń, który, jako wiceprezes lwowskiego Oddziału Związku Pisarzy Radzieckich, witał nas na granicy wraz z przedstawicielem partii Kohutem i rzeźbiarzem Czajką, i potem odwoził, który mówił dobrze po polsku, bo ukończył przed wojną polską szkołę powszechną, i który nam śpiewał i „Mój marynarynie”, i „Jak to na wojence”, i „batlarską” lwowską piosenkę. Trzydziestotrzyletni poeta zdążył już wydać kilka zbiorów. Młodszy od niego o dwa lata, pogodny i wesoły Dymitr Pawlyczko też już ma za sobą cztery tomiki wierszy i tak samo nie zapomniał polskiego. Obaj na-

prawdę interesujący poeci, zwłaszcza Bratuń w „Kwiecie georginii” i Pawlyczko w „Czatach”. I Antoni Szmygielski — ze starszej generacji, którego poznałem przed trzema laty w Lublinie i który mi sprawił tyle serdeczności, że naprawdę czułem się zażenowany. Temu patronuje głównie muza poezji „obywatelskiej”. I młodzi Jerzy Malawski i Włodzimierz Luczak, który tak szybko i sprawnie przełożył nasze wiersze, Miłkowskiego, Księskiego i moje do „Wolnej Ukrainy”, gdzie mogliśmy je przeczytać w dzień odjazdu.

Plastycy. To już była domena koleżanki Wengerek i Nadulskiego. Najbardziej wrył mi się w pamięć przemily rzeźbiarz Czajka. Jeszcze widzę przed sobą uśmiech rozlany na jego szczerzej, dobroduszej twarzy... Słyszę jego fenomenalny duet z żoną (kończącą konserwatorium), fenomenalny, bo oboje śpiewali koloraturowym sopranem. Jak ona go tej sztuki nauczyła?! A w ogóle do pieśni jest zawsze skory. Współ z Pawlyczką śpiewali jakąś żartobliwą ukraińską piosenkę, którą można było ciągnąć bez końca, bo wciąż w niej powtarzały się te same słowa refrenu.

A oto drobiazg charakteryzujący Czajkę jako człowieka, drobiazg, którym mnie ujął. Pierwszego dnia naszego pobytu we Lwowie, kiedy wieczorem poszliśmy na koncert zespołów amatorskich, nie zabrałem ze sobą płaszcza. W drodze powrotnej do hotelu, ponieważ było chłodno, podniosłem kołnierz marynarki, aby zasłonić szyję. A Czajka widząc to zdjął z siebie palto i mimo moich stanowczych sprzeciwów zarzucił mi je na ramiona.

Drugi rzeźbiarz — Krwawicz (też do brze władający polszczyzną) oprowadził nas po muzeach i zabytkach, zdradzając dużą znajomość historii i sztuki.

Wszystkich ludzi wymieniłem nie sposób. Przewinęło się ich przy nas sporo, niektórych nazwisk nie zapamiętałem. Ale wspomnieć jeszcze muszę o naszym duchu opiekuńczym, o kierowniku Funduszu Lwowskiego Oddziału Pisarzy — Poczajewiczu. Skromny, uprzedzający wszystkie nasze rzeczywiste i wyimaginowane przez niego życzenia, chyba najczęściej miał z nami roboty, troszcząc się o wygody w hotelu i zorganizowanie posiłków. Wciąż krzątał się przy nas uprzejmie, taktownie i serdecznie.

Gdyśmy się żegnali przyjaźnie na granicy, odprowadzeni przez tę samą trójkę, która nas powitała, powiększona jeszcze o Poczajewicza, obiecywałem sobie rychłe spotkanie w Lublinie. Jadąc już w polskim samochodzie, obdarowany książkami autorów z młotymi dedykacjami, przypominałem sobie powiedzenie jednego z poetów, że narody są jak drzewa: tkwią korzeniami w swej glebie, ale wierzchołkami chylą się bratersko ku swoim sąsiadom. I toasty: za naszą przyjaźń, za przyjaźń Słowian, za przyjaźń wszystkich narodów.

X. Rovay

WYRÓŻNIENIA DLA DZIENNIKARZY

Z okazji Dni Oświaty, Książki i Prasy odbyło się w dn. 27.V w Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej spotkanie z przedstawicielami prasy, na którym przewodniczący Prezydium, poseł na Sejm, mgr Paweł Dąbek podziękował im za wytrwałą i ofiarną pracę w upowszechnianiu oświaty i kultury. Dyplomy i nagrody pieniężne otrzymali:

Maria Bechczyk-Rudnicka (redaktor naczelny „Kamery”), Mieczysław Cap (korespondent lubelski „Głosu Pracy”), Janusz Danielak (Lubelska Rozgłośnia Polskiego Radia), Leszek Gzella („Kurier Lubelski”), Sara Nomborg-Przytyk („Głos Ziemi Lubelskiej”), Eugeniusz Paulowicz („Głos Ziemi Lubelskiej”), Michał Skalenajdo (PAP), Włodzimierz Smutek („Sztandar Ludu”), Kazimierz Spólnicki („Kurier Lubelski”), Genowefa Sroczyńska („Sztandar Ludu”), Tadeusz Thuczkiewicz (L. R. Polskiego Radia) i Matylda Wełna (korespondentka lubelska „Trybuna Ludu”).

Poza tym dyplomy otrzymali: Zofia Dubiewicz, Stanisława Gogolowska, Czesław Klepacki, Krystyna Kotowicz, Zbigniew Marek, Zygmunt Mikulski, Barbara Sobieska, Jerzy Turzański, Stefan Ziemiński i kilku innych zasłużonych dziennikarzy.

DRUGA SCENA: „REDUTA 61”!

ANNA TATARKIEWICZ

Lublin jest bodajże jedynym miastem rangi ponadwojewódzkiej, które ma... przepraszam, miało dotychczas jedną, jedyną scenę dramatyczną. Absurdalność takiego stanu rzeczy jest oczywista. Jedną sceną przy najbardziej nawet przemysłowym repertuarze nie może zaspokoić potrzeb wieloletni, zróżnicowanej widowni samego Lublina i obsługiwanej przez teatr „terenu”. Sytuacja ulegnie zmianie po wybudowaniu nowego gmachu teatralnego, ale — jak wiadomo — nim słońce wzejdzie... Nim tedy wzejdzie słońce nowego gmachu, teatr sam sobie zafundował drugą scenę, a raczej scenkę — salkę na 70 miejsc wysoko pod dachem budynku przy ul. Osterwy. Inicjatorami powstania scenki była grupa aktorów z Janem Machulskim (gratulacje z powodu Kallisa...) na czele. Celem, jaki stawia sobie „Reduta 61” — jest realizacja i popularyzacja polskich sztuk współczesnych. Inicjatywa ta, ze wszech miar słuszna i godna pochwały (może też upieka przy niej swą pieczęć lubelscy dramaturgowie?) jest odpowiedzią aktorów na apele marcowej konferencji dramaturgów. Ze względu na warunki lokalowe „Reduta” musi na razie ograniczyć się do wystawiania sztuk jednoaktowych, ale wyżej wspomniane

warunki mają także pewną dobrą stronę: a mianowicie mogą przyczynić się do bardziej bezpośredniego kontaktu widowni z aktorami, do zadziwienia się — jak ładnie powiedział Machulski — przyjaźni między sceną a widownią. A propos przyjaźni: swego czasu z inicjatywy oddziałów lubelskich Związku Literatów i Stowarzyszenia Dziennikarzy zaczęło wykluczać się w Lublinie Towarzystwo Przyjaciół Teatru. Trwało krótko z przyczyn nader prozaicznych: zupełnego braku funduszy na takie cele, jak np. opłacenie prelegentów itp. Czy na jesieni nie należałoby pomyśleć o reaktywowaniu TPT, którego późniejsze w czasie analogony cieszą się gdzie indziej dużym powodzeniem. Myślę, że jakaś niewielka sumka by się na ten cel w kieszeni miejskiej i wojewódzkiej znalazła, a przecież dyskusje i prelekcje teatralne, o których ostatnio w Lublinie głucho — cieszyły się zawsze powodzeniem i znaczną frekwencją.

A wracając do „Reduty 61”: kameralność salki predestynuje w pewnym sensie do poczynań typu awangardowego, co znalazło wyraz w spektaklu inauguracyjnym — prapremjera „Na

pełnym morzu” Mrożka. Ten niedawno w „Dialogu” opublikowany utwór ma wszelkie zalety Mrożka, któremu nie zawsze starczy tu na utwory dłuższe ale w krótkich jest on z zasady znakomity. „Na pełnym morzu” to drapieżna groteska, precyzyjna w ukazywaniu pewnych postaw i mechanizmów, a zarazem na tyle wieloznaczna, że można w niej znajdować analogie do bardzo różnych sytuacji rzeczywistych.

„Na pełnym morzu” zrealizowane zostało przez „Redutę 61” na zasadzie umowności, co jest nader słuszne, ale chyba za bardzo na serio; inscenizacja zbyt dosłownie poszła po linii didaskaliów, które — jak wszystko w satyrze Mrożka — należy czytać z przybliżeniem oka. Wierność autorowi, bardzo skądinąd chwalebna, powinna się tu odnosić przede wszystkim do ducha, nie do litery... Ale bądź co bądź jest to pierwszy Mrozek w teatrze lubelskim, a sama inicjatywa jest tak słuszna, że najjadliwszym Zollem (niby ja...) składają się ręce do oklasków. A więc brawo bohaterom wieczoru w osobach panów: Cywińskiego (Gruby), Kruka (Średni), Machulskiego (Mały), Lisstonosza (Lisowski) i Zarychty (Lokaj).

Ceterum censeo, że niezależnie od wszelkich planów i poczynań, budynek, w którym miał grać Bogusławski, pomnik narodowej kultury teatralnej, inaczej mówiąc — kino „Staromiejskie” — powinien być zwrócony ludzom teatru i zainaugurowany ot chociażby w przyszłym roku z okazji Festiwalu Teatrów Polskich Prawobrzeżnej. Nie słyszeliście o czymś takim? A właśnie mógłby się za rok odbyć i to nie gdzie indziej jak w Lublinie.

EDMUND PETRYK

Wieczór w Kuźnicach

góry zostały martwe
szezycy stoją bez ruchu
piękno zaklęte w skałach
serca umarłych duchów
o dzięki wam za wasz bezwład
za śniegi wstuchane w ciszę
za słowa nieznanne które
dłonią w powietrzu piszę
samotność ma różną barwę
różny ma ciężar to słowo
z gór martwych odczytuję
samotność mą kolorową.

stawiają co roku „okienko” w planie repertuarowym na nową sztukę polską, przecie niech się ukaże jakaś znośna sztuka polska, teatry wydzielają ją sobie z rąk! I z drugiej strony po co by miały grać sztuki słabe? Żeby autorzy uczyli się na swoich błędach? Przepraszam! Na wymarcu już są ci wielcy aktorzy, którzy mogli zrobić SZTUKĘ, z byle szmiry. Dziś mamy przeważnie zespoły młode. Robić z nich krótki doświadczenia — to co najmniej nieetyczne. A na nowym widzu też nie wolno eksperymentować in minus. Słuszny natomiast zgłoszony postulat na owej konferencji warszawskiej, by Ministerstwo Kultury i Sztuki poczyniło zabiegi zmierzające do stworzenia swojej sceny doświadczenia, przy której należałoby, moim zdaniem, skupić w charakterze konsultantów kilku wybitniejszych teoretyków teatru, a wykonawstwem obarczyć artystów biegłych w rzemiośle teatralnym. Obawiam się, że podciąganie wzywać polskiej dramaturgii współczesnej jest na razie ciężarem zbyt wielkim jak na młode barki naszych redutowców.

Natomiast widziałabym piękne i racjonalne zadanie dla nich właśnie w realizacji dobrych jednoaktówek (polskich i obcych). Teatry „duże” nie chcą wystawiać jednoaktówek uważając je za niekasowe. A jest to świetna forma dramatyczna, która może zalecać się nowoczesnemu widzowi maksymalnym skondensowaniem treści myślowej, sprowadzeniem jej do ostrego tragi-groteskowego koncentratu. Drugim zadaniem mogłoby być wystawianie dobrych pod względem artystycznym sztuk większych, humanistycznych a „wysuwających (nieco) nos poza obowiązujący profil”, że się tak wyrażę, przekraczając trochę myśl nieuczestną Leca. To jest zadanie, bo quod licet na 70 krzesel, non licet na 700. Wszak do teatryku eksperymentalnego przychodzi widz dojrzały.

Duży sukces małej scenki

MARIA BECHCZYŃSKA-RUDNICKA

NIEMAL unisono z kol. Tatarkiewicz śpiewam pochwałę najmłodszej lubelskiej inicjatywy: otwarcia małego teatryku w starym gmachu Teatru Osterwy.

— Więc po cóż dwa głosy?
— Żeby podkreślić wagę wydarzenia.

Tyle czasu upominał się Lublin namolnie o drugą scenę dramatyczną i nic, aż tu nagle — patrzcie: jest! Jest nowa scenka. Narodziła się rzecz można przez pączkowanie. Po prostu stary, poczciwy teatr ją sobie „wygospodarował”. I trzeba przyznać — postąpił bardzo roztropnie, bo za szybko jest dzisiaj tempo rozwoju życia artystycznego, by wolno było czekać z niezaśpokojoną potrzebą drugiej sceny do bliżej nie określonej chwili, kiedy nastąpi renowacja zabytkowego budynku teatralnego na Starym Mieście. Wystawiony w r. 1822 (przy ówczesnej ulicy po-Jezuickiej), obecnie kino Staromiejskie, już od lat jest wytykany palcem czynnikiem przez entuzjastów, dziejami jego interesowało się wielu historyków, po wyzwoleniu poświęcił mu sporo uwagi konserwator PWRN, inż. Henryk Gawarecki, którego artykuł wraz z rysunkiem rekonstruującym zamieściliśmy w „Kamieniu” jeszcze w r. 1954. Fama lubelska wyhodowała nawet legendę o rzekomym występie na owych „deskach” „Wojciecha Bogusławskiego i choćym podał w wątpliwość tę okoliczność podnoszącą walor tradycji omawianego budynku, faktem jednak pozostaje niezbitym, że przed 76 laty debiutował w „Halce” na scenie teatru „zimowego” przy ulicy po-Jezuickiej pochodzący z Lublina śpiewak operowy Antoni Sequard-Różański, artysta światowej sławy, o którym Lublin, niestety, zapomniał...

Wszystko przemawia za oddaniem dawnego budynku teatralnego — teatrowi. Tylko że sprawa nie jest taka prosta, jak by się wydawało. „Obiektowa” przeszkoda stanowiła ponoć długo trudność odebrania sali obecnemu użytkownikowi, Wojewódzkiemu Przedsiębiorstwu Kin, poza tym — niezdecydowanie co do stylu przebudowy wnętrza, no i koszty, koszty! Boć ta czy inna wersja przebudowy pachnie parą milionów.

A więc skoro się zliczy różne zawady piętrzące się na drodze do drugiej sceny, ileż trzeba cenić radośny ewenement zasygnalizowany na wstępnej wypowiedzi! Grupa młodych aktorów „wzięła” i złożyła własną trybunę artystyczną. Ma Antenum Sceny 61, czemuż by oni nie mieli pokusić się o Redutę 61, nie na darmo się jest w Teatrze im. J. Osterwy. Sama nazwa teatryku wyraża wolę walki o nowe. Pogratiulować. Nareszcie powstała w Lublinie nie-fikcyjna grupa artystyczna, która łączy jakieś wspólne założenia ideowe (obyż tak było w środowisku poetyckim). Bio-

jąc pod uwagę koleżeńską zespółowość nowego przedsięwzięcia teatralnego wymienię założycieli w kolejności alfabetycznej. Są to: Janusz Cywiński, Nina Czernska, Kazimierz Kurek, Halina Machulska i Jan Machulski. Dość wymowny jest m. in. fakt, że wybrali oni na początek sztuk bez ról kobiecych, czyli że aktorki dobrowolnie zrezygnowały ze sposobności „pokazania się” w spektaklu inauguracyjnym. Działy natomiast ofiarnie „za kulisami”, przy organizacji przedstawienia. Dobry to omen.

Wybór jednoaktówki „Na pełnym morzu” należy uznać za bardzo szczęśliwy. Ten najlepszy chyba utwór Sławomira Mrożka ma w sobie siłę totalnego oskarżenia, z jaką spotykamy się u samego Dürrenmatta. A zrealizowała rzecz Reduta 61, moim zdaniem, nienagannie.

Ma słuszność niewątpliwie kol. Tatarkiewicz, iż należałoby czym prędzej wskrzesić s.p. Towarzystwo Przyjaciół Teatru, bo już na przykład dokoła pierwszego przedstawienia nowego teatryku wywiązała się prywatna dyskusja tak żywa, że warto by ją wynieść na forum publiczne. Kilka dni temu stoczyłem zażarty spór z reprezentacją koła, które objęło w Lublinie arbitraż w dziedzinie sztuki awangardowej. Twierdzą, jakoby nasza Reduta grała Mrożka w XIX-wiecznej konwencji obyczajowej. Co do mnie, nie bardzo wierzę, by ktokolwiek zdołał zrobić Mrozkowi tak brzydki kawał. Mrozek za mocno siedzi w swojej własnej konwencji i umie tak zrezygnować powiązań wywodów arcygenetycznych ze szczegółami jak najbardziej konkretnymi, że dla uzyskania jego specyficznego, Mrozkowego wyniku, wystarczy uczciwie (i z talentem, oczywiście!) trzymać się didaskaliów. Mrozek wie, czego chce, kiedy pisze w nawiasie: *wymruje z kufra duży nóż kuchenny i oselkę, oba rekwizyty prawdziwe* (rozstrzelanie moje) albo gdzie indziej: *Średni rozkłada na środku tratwy czysty biały obrus i fachowo ustawia dwa pełne nakrycia*. Mrozek świadom jest znakomitego oddziaływania kontrastu autentycznych atrybutów cywilizacji z szeroko i głęboko ujętym prainstynktem ludożerczym, objawianym przez jego nowoczesnych „cywilizowanych”.

Jednakże rację mają ci, którzy sądzą, iż Machulski niepotrzebnie zdej-

muje buty. I zważcie: tu właśnie zespół reżyserski zdradził Mrożka. Bo Mrozek nie nie powiedział o butach. Mówi tylko: *Mały podwija pospiesznie nogawki, a potem: opuszcza nogi do morza. Myje je i pluszcze*. O — to, rzecz jasna, na nby, morze przecie jest w kotarach i lepiej byłoby istotnie najwyraźniej „jeździć” szczerką po butach. Grajmy więc Mrożka według jego wskazówek nie przerabiając go na Broszkiewicza, ani na comedie dell'arte. I nie bójmy się śmiać z przeciwstawienia „obyczajowych” szczegółów tragizmowi symbolicznej sytuacji. Umiejętne skonstruowanie autentycznych realiów ze skrajną konwencją stanowi o sugestywności piarstwa Sławomira Mrożka.

Mam, przyznam się, pewne zastrzeżenie w stosunku do zadeklarowanego przez założycieli Reduty 61 programu działania. Nie o to chodziło na marcowej konferencji dramaturgów w Warszawie, że teatry nie chcą grać współczesnych sztuk polskich, tylko o to, że teatry dostają od polskich pisarzy zbyt mało dobrych sztuk o treściach współczesnych. Przecie zo-



Reduta 61 — Sławomir Mrozek — „Na pełnym morzu”

JOACHIM LELEWEL

(Dokończenie ze str. 3)

klasę mieszczańców. A to, co powstanie będzie Polską ludu". Jak zauważył w liście z 6.VIII. 1855 r. do A. Hercena: „W podeszłym wieku, nie mając nadziei oglądania tego triumfu pocieszam... ziomków, że pracujemy nie dla siebie, ale dla przyszłych pokoleń”.

Toteż pochwałę ideologicznej postawy Lelewela przez Engelsa na obchodzie brukselskim 22.II.1848 r., jak mniemam, należałoby odnieść nie tyle do epoki powstania listopadowego, ile raczej do jego działalności na wielkiej emigracji. Czyż nie miał bowiem racji F. Engels, kreśląc taką sylwetkę Lelewela jako działacza politycznego: „Wzywając do broni całą... Polskę, przekształcając wojnę o niepodległość Polski w wojnę europejską, nadając prawa obywatelskie Żydom i chłopom, ostatnie... dopuszczając do udziału we własności ziemskiej, odradzając Polskę na zasadach demokracji i równości, człowiek ten chciał przekształcić walkę narodową w walkę o wolność, chciał utożsamić interesy wszystkich narodów z celami narodu polskiego”.

Największe wszakże zasługi położył J. Lelewel niewątpliwie w zakresie rozbudowy i odnowy nauk historycznych. Na jego twórczości dziejopisarzkiej wycisnęły swe piętno dwa wielkie prądy epoki: oświecenie i romantyzm. Historycy obydwu tych kierunków, wykrywając realne związki między faktami historycznymi, doszukiwali się ich przyczyn naturalnych w środowisku geograficznym, stosunkach gospodarczych, społecznych i kulturalnych. Rozpatrywali proces historyczny z punktu widzenia nauki świeckiej. Laickość była również rysem nader znamienym działalności naukowej Lelewela. Typowy samouk, przetrwał to, co wartościowego wniosła ówczesna myśl historyczna, ale dalej szedł własnymi drogami. Podobnie jak u współczesnych najwybitniejszych historyków świata, lelewelowska koncepcja dziejów wyszła poza zakłady dotąd krąg dziejów politycznych, opisu wojen oraz życiorysów wybitnych osobistości. Przed Marxem, który przejął wiele z lelewelowskich poglądów historycznych, zwłaszcza na sprawy polskie, samotnik brukselski już w r. 1844 głosił: „Człowiek nigdy czymś nie jest wyższym nad naród; wychodzi z usposobienia narodowego, jest tylko pierwszą literą jego wielkości lub jego słabości i przesądów... Niech nikt nie myśli, aby Polska krążyć mogła koło jednego imienia, jako nawet jednego jenuśza. Musi ona wielu ludzi niepospolitych, ich myśli, talenta i siły pochłaniać, strawić, ażeby przysła do siebie”.

Przez historię Lelewel rozumiał całość procesu dziejowego, rolę społeczeństwa, gospodarki, kultury, ustroju, przede wszystkim zaś problematykę społeczną. Wyrzucił ideologię drobnych wytwórców i drobnych posiadaczy, Lelewel z ich pozycji ocenił dzieje. Nie dostrzegł w nich ekonomicznych podstaw rozwoju społecznego. Nawet walkę klasową pojmował idealistycznie jako antagonizm zasad i idei. Jednostronnie gloryfikował rolniczy charakter Polski, dopatrując się w nim zasadniczej antytezy dziejowej w stosunku do kapitalistycznego Zachodu, do którego nasz uczoney odnosił się nader krytycznie.

W tworzeniu podstaw nowoczesnej nauki historycznej, opartej na nowych zasadach badawczych i na nowej myśli społecznej, Lelewel zdobył sobie ostatecznie opinię pioniera i tytana pracy. Jego twórczość naukowa objęła historię ojczystą i powszechną, od archeologii po historię najnowszą. Uwzględnił wszystkie dziedziny: historię społeczną, polityczną, historię prawa, kulturę, teorię i metodykę historii oraz nauki pomocnicze: geografii historyczną, paleografię, dyplomatykę, numizmatykę itd. Przeciwnik łatwizny siał zawsze do źródeł, uniikał kompilacji. Publikował swe prace na łamach czasopism polskich, rosyjskich, niemieckich i francuskich. Ogłosił ogółem tysiąc pozycji, w tym 582 bez przedruku, z czego 273 to prace naukowe lub naukowo-popularne. Za życia Lelewela w latach 1954-1865 rozpoczęło zbiorowe wydanie jego dzieł, obejmujące tylko prace z zakresu dziejów Polski. W sumie twórczość Lelewela obejmuje 50 tomów, tj. tyle co najplodniejszego historyka francu-

skiego J. Micheleta, prawie zaś tyle co L. Rankego (54 t.).

Podczas gdy dawniejsi historycy przedstawiali na omawianiu czynów władców i stanów uprzywilejowanych, Lelewel za przedmiot badań historycznych wziął wszystkie warstwy społeczne, tworząc pierwszą u nas historię narodową. Wsuwając na plan pierwszy działania mas, ludu, narodu, Lelewel jest twórcą pierwszej historii społecznej Polski. Wreszcie w jego ujęciu stosunki społeczne, gospodarcze, polityczne i kulturalne ulegają ciągłym zmianom, wzajemnej zależności, występują jako zwarta całość w jednolitym procesie rozwoju dziejowego. Jest to zatem historia integralna i dynamiczna zarazem.

Jako demokrat i romantyk Lelewel ujął polski proces historyczny w kategorię gminowładztwa jak gdyby cyklicznego, tj. powracającego w różnych okresach naszych dziejów. Jego termin „gminowładztwo pierwotne”, to jak gdyby zapowiedź marksowskiej „pierwotnej formacji wspólnoty rodowej”. Ten I okres pierwotnej demokracji sięgał — według polskiego uczonego — czasów poprzedzających powstanie państwa polskiego w X w. Następny okres samowładztwa monarchistycznego, możnowładztwa, okres przywilejów stanowych Lelewel uznał za sprzeczny z „duchem słowiańskim”. W III okresie „gminowładztwa szlacheckiego” dostrzegł częściowy nawrót do zasad słowiańskich, zahamowany przez wzrastające wpływy arystokracji, która w IV okresie „gminowładztwa szlacheckiego” w zawichrzaniu” wykorzystywała wraz z jezuitami swą przewagę do osłabienia i upadku państwa. W V okresie dziejów najnowszych Lelewel dostrzegł nawrót „Polski odradzającej się” do zasad pierwotnej demokracji przez rozszerzenie wolności i równości szlacheckiej na cały naród. Tak więc koncepcję samorodności rozwoju dziejowego Polski Lelewel łączył z rodzimością jej zasad demokratyczno-republikańskich. Jego racjonalistyczno-romantyczna koncepcja dziejów miała pośrednio dostarczyć oręża naukowego w walce ideologicznej z obozem konserwatywnym. Podczas gdy podkreślająca wpływy kulturalne Zachodu na Polskę publicystyka Hotelu Lambert wyrażała kosmopolityczne dążności polskiej arystokracji, w gruncie rzeczy lekceważącej polską kulturę, to Lelewel podkreślając — wprawdzie nieco przesadnie — rodzimość polskiego procesu historycznego, pragnął zwalczać okcydentalizm konserwatystów przez ujawnienie narodowych źródeł kultury polskiej.

Odrzucając modną wówczas teorię podboju, którą wyjaśniano początki państwa polskiego, Lelewel wysunął tezę „jednoplemienności” narodu polskiego, aby obalić pogląd o rzekomej wyższości rasowej szlachty. Klęski Polski w okresie porozbiorowym wyjaśnił wyłącznie zgubną rolą arystokracji, która liczyła na pomoc obcych mocarstw. Sformułował też ciekawe przewidywanie, że „przez lud, gminowładztwo, demokrację” odradzająca się Polska odzyska Śląsk i Prusy, utracone przez arystokrację.

W wykładzie historycznym Lelewel wysuwał na plan pierwszy walkę społeczną, a dopiero na jej tle grupował zdarzenia dziejowe, przedstawiał życie całego narodu, w ciągłym ruchu i rozwoju. Ów rozwój dziejowy Polski ujmował jako ścieranie się zasad słowiańskich z zachodnimi. Upadek Polski tłumaczył odchyleniem od „rodzimych pierwiastków republikanizmu i demokracji na rzecz monarchizmu, feudalizmu i arystokracji. Lelewelowska synteza dziejów wiązała się z ideologią humanitaryzmu, z tendencjami polskiej rewolucji agrarnej, rozszerzeniem i okrzepnięciem nowoczesnej świadomości narodowej. Zwalczała wyłącznie siły antyludowe, tak własne, jak i obce. Odwołaniem się do przeszłości dziejowej uzasadniała demokratyczny program postępowego obozu patriotów polskich. Dzisiejszy stan badań w wielu wypadkach zmienił obraz przeszłości stworzony przez Lelewela. Nie zmniejsza to jego oryginalności i znaczenia w swoim czasie. W zakresie nauk pomocniczych Lelewel dziś jeszcze nie przestał być pozycją wyjściową. Pod względem zaś uniwersalności i zainteresowań nikt dotąd mu nie dorównał. Toteż nawet konserwatywny historyk, M. Bobrzyński uznał, że Lelewel „głębokim swoim umysłem sięgnął w tajemnicę naszego społecznego i politycznego rozwoju, poruszył ogrom najczystszych pytań, a siłą się na natychmiastowe rozwiązanie postawił nowy gmach naszych dziejów”.

Na zakończenie tego krótkiego przeglądu działalności największego historyka polskiego nasuwa się pytanie,

OPOWIADANIA tragiczno-pogodne

WOJCIECH NATANSON

Opowiadania Stefana Wolskiego* nazywam „tragiczno-pogodnymi”, gdyż radość życia i wiara w jego wartość stają się tu motywami przewodnimi najbardziej nawet groźnych, czy bolesnych wydarzeń. Przebijają one jak słońce, które się ukazuje w szczelnie pozostawionej przez czarne chmury burzowe. Życie i szczęście ludzkie są krusze — zdaje się mówić autor — a mimo to można w nich znaleźć — zdziwiająco bogactwo elastycznej i wytrwałej siły. Na odwrót — nawet i w optymicznie ileż się kryje ostrej a przejmującej goryczy.

Może najdokładniej to widać w tych opowiadaniach Wolskiego, które dotyczą spraw okupacyjnych. Przeważają one zresztą w tym tomie, nadają mu charakterystyczne cechy. Oto życie w jednej z fabryk warszawskich w latach wojennych. Robotnicy zdają sobie z tego sprawę, że znajdują się pod obserwacją Gestapo. Ale ten, którego wszyscy w pierwszej chwili biorą za szpicla — okazuje się towarzyszem walki, a nawet (w chwili najgroźniejszej) — wybawcą. Życie układa się więc w epizody jakiejś fantastycznej „commedia dell'arte”. Najbardziej zdziwiająco splećta i zaskakujące niespodzianki, jakie sobie można wyobrazić, zostają zdystansowane przez bieg wydarzeń. Być może, iż autor nie zawsze uprawdopodobnił i umotywowował owe powikłania. Lecz niewiele nam to przeszkadza — skoro wyścig między faktami a wyobraźnią staje się tu przedmiotem wyłącznej uwagi.

Przykład drugi. Czy w toku takich wydarzeń, jakie społeczeństwo polskie przeżywało zbiorowo w Warszawie lat 1942-43, to, co nazywamy indywidualnym „pechem”, nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności, przesładowującym jakiegoś poszczególnego człowieka, mogło odgrywać rolę istotną i dostrzegalną? Stefan Wolski pokazuje, że tak bywało w interesującym pomyślanym opowiadaniu „Broszka”. Tutaj tragizm w pewnym momencie pozornie przezwyciężony zdaje się ostatecznie tryumfować.

Nie na długo jednak. Piękne opowiadanie „Kosma” (chyba najciekawsze z całego zbioru) daje portret jednego z cichych bohaterów konspiracji, dozorca Kosmy. Przechowuje on broń pod łóżkiem swej izdebki, trafem przechodzi szczęśliwie przez rewizję gestapowców, traci własnego syna, który wpadł podczas oblawy, a jednak nie myśli nawet przez sekundę o wyprowadzeniu się z mieszkania — tak bardzo pewny jest nieugiętej postawy chłopca. To chyba najpiękniejsza nowela całego zbioru, napisana z prawdziwą siłą, bez jednego niepotrzebnego słowa, z wyborną umiejętnością odmalowania stołkich bohaterów.

Mniej pewną ręką pisane są utwory dalsze. „Groch” — to znów opowieść o grze przypadku, poczucia obowiązku i przezwyciężonego lęku w przeżyciach konspiracyjnego kuriera; ale słabość wątku narracyjnego i zbędne chwytły naturalistyczne osłabiają wrażenie. „Barbara i Ewa” jest interesu-

dziejowego Lelewel zajął czołowe miejsce w Panteonie polskiego dziejopisarstwa? Wydaje mi się, że nie rozminę się z prawdą, jeżeli jego wybitne osiągnięcia naukowe położę na karb nie tylko jego niezwyklej pracowitości, wnikliwości badawczej oraz fenomenalnych uzdolnień, lecz również wskażę na więź łączącą go z wartkim nurtem życia współczesnego, dodatnio wpływającą na jego syntezę historyczną, ożywioną jego głębokim a zdrowym patriotyzmem, rzetelnym humanitaryzmem, umiłowaniem ludu i postępu, przesyconym internacjonalizmem demokratycznym. Dlatego obraz tego „patriarchy demokracji polskiej”, dzięki którego twórczości polskie dziejopisarstwo dało trwałą wkład w ogólnowiatowy dorobek naukowy, niechaj pozostanie w pamięci naszej jako tego, który łącząc twórczą pracę naukową z ofiarną służbą społeczną, stał się pierwszym z obozu mieszczańsko-radykalnego naszym historykiem postępowym, wyraźnie zapowiadającym powstanie POLSKI LUDOWEJ.

Juliusz Willaume

jąco pomyślanym dramatem miłosnego poświęcenia. Wydaje mi się jednak sztucznym i niezręcznym pomysłem „oprawienie” tej powieści w powojenny „dalszy ciąg”, który ma stanowić kontrast o charakterze dydaktycznym. Jakby dla przeciwstawienia heroicznemu bohaterowi „Kosma” — dozorca z innego opowiadania, dziejącego się po wojnie — dorabia się cynicznie na łapówkach przyjmowanych za podpisywanie zarówno fałszywych, jak i prawdziwych, a zawsze sprzecznych z sobą, „dokumentów”. Ma jednak swobodną etykę, skoro tak zdobytych pieniędzy nie przepija jak to robi z innymi zarobkami...

Z pięknie przeżytej, zaledwie kilkudniowej przygody dwojga ludzi mogą wynikać wzbogacające i ożywcze duchowo podniety: tak mi się przedstawia myślowy sens trochę wąskiego narracyjnie „Ostrokołu” (który użył tytułu całemu zbiorowi). Prawa życia układają się twardo, ale jaką piękną postawę może wobec nich zająć wola ludzka nawet w najtrudniejszych okolicznościach: Osiemdziesięcioletni starzec, nie chcąc być ciężarem dla rodziny, ani narazić jej w przyszłości (już niedalekiej) na wysokie koszty pogrzebu, postanawia wyjechać gdzieś daleko i zginąć, może popełnić samobójstwo. Nawet wyrzeczenie się życia może być pośrednią pochwałą jego wartości.

Tak mi się przedstawia krąg ludzi, których nam ukazują nowele Stefana Wolskiego. Ciekawy świat. Są tu i cisi, jakby ukryci w cieniu pięknych swych czynów bohaterowie, są także i małe istotki próbujące podłostkami „wkupić się” w prawo istnienia. Są wydarzenia o paradoksalnym, przekornie ironicznym znaczeniu — są i takie, których jasnej wymowy niepodobna nie dostrzec. Radość życia sąsiaduje tu z niepokojem, stoicyzm ze sceptycyzmem i krytycyzmem.

*) Stefan Wolski „Ostrokoł” Opowiadania. Lubelska Spółdzielnia Wydawnicza.

ROZWIĄZANIE DRUGIEGO KONKURSU LITERACKIEGO „KAMENY”

ogłoszonego pod hasłem
„Wiedza pomaga w życiu”

Po zapoznaniu się z nadesłanymi rozwiązaniami, Kolegium Redakcyjne przyznało na posiedzeniu w dniu 8.VI br. nagrody książkowe następującym osobom:

Wiesławie Baszyńskiej, Piotrowi Bednarskiemu, Bohdanowi Bieńkowskiemu, Marcinowi Bieńkowskiemu, Marii Bodziak, Annie Brzeźkiej, Grażynie Dąbkowskiej, Irenie Harhalowej, Zofii Matyjaszewskiej, Edmundowi Parchecie, Marianowi Pszczolińskiemu, Bolesławowi Skirmuntowi i Anieli Swiderskiej — 10 Lublinie.

Prosimy o odbieranie nagród w redakcji „Kamenu” (Graniczna 1c) od godz. 12 do 15.

Oto prawidłowe odpowiedzi na pytania: Kto to napisał? W którym utworze?

1. Andrzej Strug „Odnaka za wierną służbę” 2. Józef Ignacy Kraśzewski: „Boży gniew”. 3. Adolf Rudnicki: „Niebieskie kartki”. 4. Józef Nikodem Kłosowski: „Gwiazdy nad polaną”. 5. Maria Kuncewiczowa: „Dwa księżycy”. 6. Jerzy Putrament: „Rozstaje”. 7. Henryk Sienkiewicz: „Potop”. 8. Józef Weyssenhoff: „Żywoć i myśli Zygmunta Podfilipskiego”. 9. Ewa Szelburg-Zarembina: „Miasteczko aniołów”. 10. Stefan Żeromski: „Wspomnienia”.

dywojennego dwudziestolecia. Tylko waham się przed określeniem przyczyny. Niewątpliwie wpłynęło na to zlikwidowanie analfabetyzmu, upowszechnienie szkolnictwa, ale chyba decydującą rolę odegrała przyczyna natury politycznej i ekonomicznej, a znacznie mniejszą głód kulturalny. Jakkolwiek będziemy uzasadniać to zjawisko faktem jest, że statystyczny mieszkaniec naszego województwa wydaje na prasę rocznie 21 złotych.

A teraz nasz trzeci na dzisiaj kontrahent — alkohol.

Gatunków wódek jest wprawdzie mniej niż tytułów czasopism, ale ktoś tam zadał sobie trud przeliczenia wszelkich żubrówek, śliwówek czy wiśniówek, a nawet win, na 100-procentowy alkohol. Otóż wypiliśmy w ub. roku dokładnie 3.969.700 litrów czy stego alkoholu. Licząc tylko po 200 zł za litr (tylko — bo z wódkami gatunkowymi wypada drożej), otrzymamy niebagatelną sumę 794 milionów zł. Dziennie 2.175 tys. zł — wszyscy razem, a 1,18 każdy oddzielnie, z oseskiem i prababcia łącznie. A moglibyśmy wybudować codziennie 43 izby mieszkalne...

1 anioł i 19 diabłów

Skorzystajmy z dokładności alkoholowej statystyki i podajmy kilka szczegółów. A więc trzeba sprostować, jakoby spożycie alkoholu spadało. Tak mówią niektórzy handlowcy, kalkulując na boku perspektywy własnej premii. Istotnie — rekordowy był rok 1957, kiedy to wypiliśmy 4.383 tys. litrów czystego alkoholu. Spadek trwał dwa lata, ale wzrost od roku 1959 do 1960 wyniósł 175 tys. litrów. Wybaczcie jeszcze jedno przeliczenie — wypada na każdego z nas po jednym głębszym na kwartał więcej.

Przeciętna spożycia w województwie wynosi 2,2 l 100-procentowego alkoholu rocznie na osobę. Wbrew inzynuacjom lubliniacy wcale nie są rekordzistami. Tej wątpliwej wartości zaszczyt przypadł mieszkańcom Zamościa. Czyżby z żalu za wciąż rozsypującymi się kamieniczkami średniowiecznego renesansu? Piją więc 4,9 l, podczas gdy powiat zamojski utrzymuje się w normie ogólnowojezdźkiej. Lubliniacy zadowolili się trzecim miejscem z 3,8 l, bo wicemistrzostwo wraz ze zbudowaniem cementowni przeszło w ręce, a raczej gardła mieszkańców Chełma. Pozostałe powiaty wykazują spożycie mniejsze od przeciętnego, przy czym najmniejsze Biłgoraj 1,3. Z tej zasady wyłamują się tylko dwa powiaty: Puławy (2,9 l) i Opole (2,3 l). Trzeba tu jednak dodać koniecznie, że we wsiach produkuje się nie ujęty żadna statystyka, a przecież w stosunkowo dość poważnych ilościach produkowany samogon. To oczywiście zwiększa — o niewiadomą wielkość — spożycie alkoholu. Zjawisko analogiczne, jeżeli chodzi o książki czy czasopisma, nie występuje wcale. Odwrotnie — pewne książki wracają do antykwariatów i są sprzedawane po raz drugi.

Jeżeli więc handel alkoholem idzie tak dobrze, to aż dziw bierze, że żaden z handlowców czy producentów nie pomyślał dotąd o zorganizowaniu Dni Wódki, Wina i Porteru! Może ostatecznie i pomyślał, ale jakoś nie miał odwagi wystąpić głośno z taką inicjatywą. Zresztą właściwie po co? Dom Książki ma 52 księgarnie, gminne spółdzielnie mają 125 punktów sprzedaży książek, a spółdzielnie uczelniane 145 — razem 322 miejsca, gdzie można kupić książki. A wszelkiego rodzaju alkohol możemy nabyć w 681 sklepach i 358 tzw. punktach zbiorowego żywienia (chyba często raczej — upajania), a napoje do 18 procent alkoholu dodatkowo w 2.363 sklepach i 118 lokalach gastronomicznych — razem 3.520. Można by więc biblijnie powiedzieć, że na jednego anioła wypada 19 diabłów i jeszcze ogon dwudziestego. Jakże więc nie ulec pokusie?

Wszystko to, co mówię, nie ma oczywiście na celu rozpoczęcia wojny krzyżowej ani z Państwowym Monopolem Spirytusowym, ani z piłem alkoholem w ogóle. Prawdą jest, że na wyrobach alkoholowych zarabia i pań-

Od Tahiti do Szczecina

co dzień losami stoczni, w której buduje się statki z wytopionej przez niego stali, niż połowami u brzegów Afryki. Niestety w naszej literackiej nauce o morzu więcej jest romantycznych opisów, niż spraw, których się już nauczyli społeczeństwa wielu morskich krajów. Ze morze to nie tylko przystępna, to przede wszystkim praca, to bogactwo narodu. Bogactwo osiągalne tylko dla tych, którzy nauczą się pojmować współczesną prawidłowość tego społecznego zagadnienia. A według tej prawidłowości „Lewanty” Brauna mają chyba konkretniejszą wymowę niż książki w rodzaju: „Kaper z „Morsklego psa”, „Lowcy fok”, czy „Tahiti najpiękniejsza”.

Nie, naprawdę nie myślę protestować przeciw opisom i wrażeniom z dalekomorskich podróży. Nikt bowiem nie jest w stanie pozbawić literatury marynistycznej jej romantycznego uroku. Uważam jednak, że problem morza, „zarażenia” nim społeczeństwa, nie wiedzie tylko przez Tahiti i zatokę białych niedźwiedzi. A przecież wielu kandydatów na pisarzy marynistycznych tak właśnie sądzi.

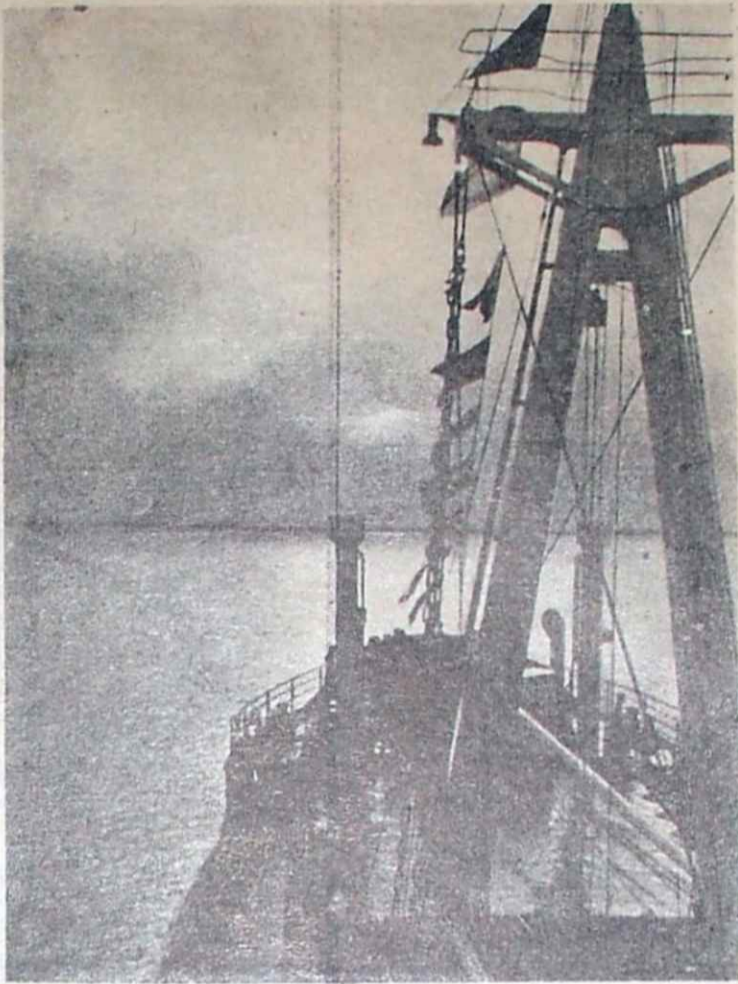
Podczas szczecińskiego zjazdu młody, zdolny pisarz z Wrocławia opowiadał, że chciał koniecznie zostać marynistą. Uzbierał nawet 20 tysięcy złotych na podróż na Daleki Wschód. Ze względów formalnych podróż nie doszła do skutku. Węc pisarz żalił się: chyba moje chęci zostania pisarzem marynistą spełzną na niczym. Oczywiście wspomniana podróż jest atrakcją nie do pogardzenia. Gdyby jednak chodziło nie tylko o atrakcję, ale o potrzebę pisania o sprawach morza, wystarczyłoby się przenieść na jakiś czas z Wrocławia chociażby do Kołobrzegu i już byłaby możliwość poznania życia ludzi żyjących z morza.

I tak przecież więcej w naszej literaturze reportaży z Dalekiego Wschodu i z wysp Atlantyku niż z Bałtyku i polskiego Wybrzeża.

Powie ktoś: namawiasz do pisania o Kołobrzegu, a sam siedzisz tyle lat w Szczecinie i o tym nie piszesz. To prawda, ale kiedy odczuję potrzebę zostania pisarzem — marynistą, wierzcie mi, nie będę zbierał pieniędzy na podróż do Ameryki, napiszę powieść o szczecińskiej stoczni, i nikt mi nie wzmieni, że to nie będzie powieść marynistyczna.

Ryszard Liskowski

Z A L E W S Z C Z E C I Ń S K I



Miłośnicy Puław

(Dokończenie ze str. 1)

Wspólnie zainteresowaniem losami miasta zaczyna łączyć ich i zesparać. Na takim gruncie powstała myśl utworzenia towarzystwa regionalnego.

stwo, i rady narodowe, i wiele innych pożytecznych instytucji. Prawdą jest, że dopłaty do wódek na SFOS w pierwszym kwartale br. dały samemu tylko Lublinowi ponad pół miliona zł. Rzecz jednak w tym, że spożycie alkoholu od półtora roku znów wzrasta łącznie z poważnymi konsekwencjami, z których tylko część dociera do milicji, sądów i szpitali. Ale i ta część wystarczy, aby podnieść alarm. Rzecz również w tym w tym, aby zdać sobie sprawę z dysproporcji pomiędzy zjawiskami natury kulturalnej a kulinarno-alkoholowej. Mimo bowiem niewątpliwie dużych osiągnięć w pierwszej dziedzinie, ta druga wciąż jeszcze nie jest opanowana i sprowadzona do właściwych wymiarów. A o to ostatnie właśnie chodzi.

Niechże na zakończenie smętną ilustracją do całego artykułu będzie ostatnia sesja plenarna MRN w Lublinie w dniu 1 czerwca br. W referacie podstawowym o kierunkach działania w okresie nowej kadencji przewodniczący Prez. MRN mówił m. in. o kulturze. W czasie dyskusji i późniejszych obrad dosłownie nikt nie podjął tego tematu. Z okazji natomiast projektu uchwały o ograniczeniu sprzedaży alkoholu, która w gruncie rzeczy prawie nic nie ogranicza, wywiązała się bardzo ożywiona dyskusja. Mimo że PMS nie posiada w Radzie żadnego przedstawiciela, natomiast kultura i zdrowie.

Jest więc naprawdę dużo do zrobienia.

Jerzy Dostatni

jako środowiska rozwijającego społecznie zainteresowania miastem i regionem tamtejszym. Przy życzliwym poparciu i pomocy Komitetu Powiatowego PZPR i Wydziału Kultury PPRN działające społecznie i kulturalnie miasta doprowadziły do utworzenia w dniu 19.V. br. Towarzystwa Miłośników Puław, nad którym patronat objęła Miejska Rada Narodowa, zatwierdzając Towarzystwo na uroczystej sesji inauguracyjnej tegoroczne „Dni Puław”. Towarzystwo przyjęło założenia ciekawe i oryginalne. Przy chęci wydobycia i upowszechniania miejscowych tradycji historycznych regionalistów puławscy mają ambicję zajmowania się aktywnie współczesnymi sprawami miasta. Pragnie ono stać się czynnikiem kształtującym i współpracującym z miejscowymi władzami, instytucjami i przedsiębiorstwami w dziedzinie rozbudowy i rozwoju miasta.

Jest to chyba interesujący przykład właściwego rozumienia roli i miejsca ruchu regionalnego we współczesnym układzie społecznym i ustrojowym.

Czy ambitne te założenia programowe staną się dyrektywami praktycznego działania puławskich społeczników, wykażą to najbliższe miesiące.

Zespół ludzi tworzących Towarzystwo składa się z osób znanych z działalności społecznej w Puławach, są to nauczyciele, pracownicy naukowcy i instytucji, pracownicy partyjni i kulturalno-oświatowi. Duszą Towarzystwa jest prof. Michał Strzemski. Znana to w Puławach postać. Przykład uczonemu o szerokim spojrzeniu i instynkcie społecznika, łączącego płodną pracę naukową z ruchliwą działalnością społeczną, nacechowaną istotnym rozumieniem współczesnych przeobrażeń i procesów społecznych.

Prof. Strzemski doskonale rozumie obecne okoliczności sprzyjające rozwojowi Puław. Pragnie w tej sytuacji współzestawić w kształtowaniu społecznych warunków tego rozwoju. Wierze, że jego obecność w puławskim środowisku społecznym jest potrzebna. Profesor związany jest z Puławami niejako rodzinnie i osobiście. Obecny kierownik zakładów Gleboznawstwa IUNG jest wnukiem dawnego dyrektora instytutu puławskiego, ojciec był również

pracownikiem naukowym w Puławach, a matka pełniła przez 10 lat funkcję sekretarza Rady Naukowej Państwowego Instytutu Gospodarstwa Wiejskiego. Prof. Strzemski w 1962 roku (w stulecie Instytutu) obchodzić będzie 25-lecie pracy naukowej w Puławach. Wraz z zespołem pracowników naukowych Instytutu (Zakład Gleboznawstwa, Zakład Klimatologii i Meteorologii oraz Zakład Gospodarki Terenów Urzeźbionych) zajmuje się od lat badaniami środowiska geograficznego. Ma on w tej dziedzinie znane osiągnięcia. Charakter tych badań, stwierdza prof. Strzemski, zmusza do szerszego zainteresowania się miejscowym regionem i warunkami jego rozwoju. Ponadto uczony jest autorem licznych publikacji dotyczących historii Puław oraz historii rolnictwa w Polsce. W społeczności puławskiej uczony ceniony jest jako społecznik i człowiek dobrej rady. Rozliczne zajęcia, badawcze, organizacyjne i społeczne nie zdołały dotąd oderwać prof. Strzemskiego od zainteresowania problematyką Puław. Uczony oddający swój czas sprawom lokalnej społeczności to fakt na ogół dotąd u nas raczej rzadki.

Profesor wierzy w przyszłość Towarzystwa, gdyż jego powstanie wynikało z rzeczywistych potrzeb społecznych miasta i aprobowane jest przez miejscowe władze. Chętnie też odda swój czas i doświadczenie w pracy stowarzyszenia.

Aleksy Bornus

O czym pisała „Kamena” przed 25 laty

Czerwoony nr 10 (30) „Kamena” z r. 1936 był w całości poświęcony tematyce morskiej. Zawierał artykuł Zbigniewa Jasińskiego „O poezji marynistycznej”, wiersze Haliny Brodowskiej, Olgi Daukszy, Wandy Karzewskiej, Jerzego Pietkiewicza, Edwina Herberta, Mieczysława Lisieckiego, Aleksandra Baumgardena, Włodzimierza Słobodka, Zdzisława Popowskiego i Wacława Mrozowskiego, przekłady wierszy marynistycznych Jana Smreka, O. Włyżki i O. Wysni (Hun. K. A. Jaworski), fragmenty powieści Zbigniewa Jasińskiego „Bieźmiech” i Juliusza Żuławskiego „Wyprawa o zmierzchu”, przegląd poezji i noty. Numer zdobył wiktadki linorytowe Zenona Wasniewskiego — „Motyw morski”. „Nazze okno na świat”.

GARŚĆ OWSA czyli KOŃ ALTRUISTA

EDWARD GÓRA

SPOŁDZIELNIA malarzy „Tęcza” po długich naradach nabyła konia, który od pierwszych godzin stał się dumą i radością członków

— Nareszcie mamy swojego konia.
Po kolei odwiedzały go wszystkie żony majstrów z uśmiechem na ustach i z kawałkiem cukru w palcach. Po żonach majstrów przyszły narzeczone czeladników. Potem syny i córki, po dwoje, po troje, a zwłaszcza chłopcy. Wszyscy chcieli przejechać się konno.
— To jest żłób — tłumaczył emerytowany konduktor, a z zamiłowaniem koniarz, opiekun zwierzęcia.
— Żłób — dziwiono się. — Patrzcie żłób!
Kolejarz stawał na paczce od patentowych farb.
— To jest koń — wyjaśniał — zwierzę pociągowe, wozi drabiny, pędzle.

— A czy żre?
— Żre.
— A co on żre?
— Owies.
— A siano?
— Też.

Wszystkim się podobało, że koń żre owies. Zwłaszcza tym, co mieli króliki. Właściciele kóz byli zwolennikami siana.

— Siano jest zdrowsze — upominał kasjer, myśląc o swojej kozie. Cała ulica Cytrynowa, a nawet dalsze, jak Wróbla i Pstra, a zwłaszcza Kozia i Królicza, cieszyły się koniem malarzy.

Malarze też się cieszyli z konia. Był to osiłek, z tych lubelskich koni czerwono-gniadych, z ciemną, wichrowatą grzywą, bystry w ślepiach.

— Nasz koń — mówili członkowie spółdzielni.
— Nasz koń — mówiły żony malarzy i narzeczone czeladników.
„Nasz bulanek, nasz bulanek
„Wozi pędzle cały ranek” — śpiewali chłopcy.
— Przepasiecie konia — irytował się kontroler — Kto to widział sześć miar owsa? Pięć kilo siana... siczka, kartofle...
— Niech się pasie.
— Lubimy przepasione konie.
— Nim tłusty schudnie, to chudego diabli wezmą.
— Co to za nauki? Nasz owies, nasz koń.
— Co komu do naszego konia?
— Teoria, teoria...
— To lubelski koń! To koń z apetytem. On ma apetyt.
Inaczej zupełnie czas leciał z koniem.

Takiemu koniowi to przyjemnie w żłobie pomieszać. Poklepać po szyi, podrapać, obejrzeć się i... usunąć od niechcenia garstkę owsa do kieszeni. Na pamiątkę od naszego konia dla królików. Albo lepiej podarunek od naszego konia dla mojego królika. Garść owsa.

Po paru miesiącach, zwłaszcza na przednówku całe biuro latało drapać bulanka.

— Swój koń, pocziwie stworzenie.
— Przepasie się, to się przepasie.
Po Wielkanocy koń zdechl.

Gwałt.
— To koń? To oszust!
— A to nas wykiwał!
— Z cicha pękl.
Weterynarz obmacał nieboszczyka, rozdarł ślepią, pociągnął za ogon.
— Zdechl z głodu — zawyrokował, przeciskając się przez ciżbę.
— Jak to z głodu?
Przedstawiono mu prosto z biura tabelę żywienia nieboszczyka.
— A! Teoria! — rzekł weterynarz i opuścił właścicieli zwierzęcia.
— Z głodu?

Każdy z pięćdziesięciu członków popatrzył na swoją prawą dłoń, która w razie potrzeby stawała się garścią, zwłaszcza w chwili mieszania owsa w żłobie.

— Żeby garstka owsa!
Najbardziej wzruszająca chwila nastąpiła wówczas, gdy gnieniony i oblewany łzami nieboszczyk zarżał.
— On coś wyrżał! Wyrżał, słowo honoru.
— Coś powiedział!
— Powiedział — wymamrotał emerytowany konduktor miłośnik koni, i przytknął czerwoną chustkę do oczu. — Powiedział... powiedział! Ach, powiedział: „Pozdróście ode mnie braci królików i siostry kozy”.
— Co za serce!
— Szlachetne zwierzę.
— Od pyska sobie odejmował.
— Altruista.

SPROSTOWANIE

W n-rze 10 „Kamery” (str. 5) do nazwiska autora artykułu „Losy Klonowica jako temat literacki” wkradł się błąd drukarski. Przepraszamy uprzejmie Pana Profesora A. Grychowskiego za niedopatrzenie. — Redakcja.

*odpowiedzi
redakcji*

P. P.
Barbara P. w Lublinie. Próbkę bez wartości.
Stanisław Srokowski. Zatrzymujemy do ew. wykorzystania w dalekiej przyszłości („kolejka” bardzo długa) „Ranek” i „Doświadczenie”. Prosimy o podanie adresu.
L. J. O. w Chełmie. Zatrzymujemy do n-ru „chełmskiego” (Jerzenia).



Z „Wieczoru nonsensu”
w Lubelskim Domu Kultury

KSIĄŻKI NADESLANE

przez „Iskry”

W. Tiendrakow — Trójka, siódemka, as, przełożył Ziemowit Fiedziński, Warszawa 1960.
Emilian Stawow — Smutna miłość, z bułgarskiego przełożyła Jadwiga Nurkiewicz, Warszawa 1961.
Ignacio Aldecoa — Z wiatrem Solano, przełożył Stanisław Zembrzuski, Warszawa 1961.
Jan Konthe — Niedaleko Damasku, Warszawa 1961.
Bolesław Mrówczyński — Cień Montezumy, Warszawa 1961.

przez „Naszą Księgarnię”

Jerzy Stobński — Profesor Jędrzej Słodki, Warszawa 1961.
Szota Rustaweli — Witeń w tygrysięj skórce, spolszczył Igor Sikirycy, Warszawa 1960.
Katarzyna Shippen — Ludzie którzy śladali tajemnice życia, przełożył: C. Lewandowska i T. Zajaczkowski.

przez Wydawnictwo Łódzkie

Jan Hustrza — Telefon więcej nie zadzwoni, wyd. w 1961 r.
Bogdan Rutha — Opowieści z Davos, wyd. 1961 r.
Kazimierz Bieszyński — O mnie i nie o mnie, wyd. 1961 r.

przez PIW

Janina Brzostowska — Zanim noc... wiersze, 1961.
Sergiusz Antonow — Alonka, przełożyła Halina Kłemińska, 1961.
Jan Bolesław Ożóg — Gdzie powój wola, wiersze, 1961.
Jan Otcenasek — Romeo, Julia i mrok, przełożyła Maria Erhardtowa, 1961.
Piotr Chmielowski — Pisma krytyczno-literackie, 2 tomy, opracował Henryk Markiewicz, 1961.

NOTY

APEL LITERATÓW KRAKOWSKICH. W numerze 23 „Życia Literackiego” zamieszczono list otwarty do Ministerstwa Kultury i Sztuki w sprawie przeniesienia zwłok Kazimierza Przerwy Tetmajera z Cmentarza Powązkowskiego w Warszawie na Cmentarz Zasłużonych w Zakopanem. List podpisał Tadeusz Bocheński, Józef Kapeniak, Jalu Kurek, Andrzej Rybicki, Jan Izidor Sztudnynger i Anna Swirszczynska. Inicjatywie tej należy gorąco przyklasnąć. Nie wątpimy, że do r. 1963, kiedy to przypada stulecie urodzin Poety, Ministerstwo Kultury i Sztuki przychyli się do najslusniejszego apelu literatów i ciała największego plewy Tatr spocznie obok zwłok Chałubińskiego, Stolarezyka, Sabaly i Witkiewicza.

O NIEDAWNYM ZGONIE Wojciecha Bąka i Zenona Skierskiego napisali serdeczne słowa Jarosław Iwaszkiewicz w „Życiu Warszawy” (o pierwszym) i Wanda Krągen w „Życiu Literackim” (o drugim).

IM. JANA HEMPLA nazwano nową ulicę między Pastrowskiego a Okopową. Może teraz przyjdzie kolej na uczczenie w podobny sposób Czechowicza?

W DYSKUSJI O LEKTURACH SZKOLNYCH zabrała głos Helena Zatorska (Nr 23 „Nowej Kultury”). Głos poważny i rzeczowy. M. in. obrona „Trenów” i Odrprawy postów greckich” (w całości), „Anieli” i

to „ciche westchnienie” do Historii Literatury Niepodległej Polski Ign. Chrzanowskiego, która, „pisana z określonych pozycji ideologicznych i przestarzała już dziś pod wieloma względami, daje przykład kompletnego obrazu literatury zawartego w krótkim stosunkowo zarysie”. A więc myśl o stworzeniu „dobrze opracowanych antologii, wyborów i syntetycznych „niebrykowych” ujęć”. Bardzo słusznie!

HENRYK VUGLER wbrew zgorzeniu „Poważnych Publicystów” surowo karzących „lekkomyślnego felietonistę podejmującego tak frywolny i niegodny intelektualisty temat” słusznie kontynuuje w „Życiu Literackim” swój cykl „Romanse literatury”. Ostatnio pisał o parze z „Czarodziejskiej góry” — Hansie Castorpie i pani Chauchat. Utwory polskie i obce to niewyčerpana kopalnia pod tym względem. Ale idzie przede wszystkim o miłość niezwykłą i niebanalną. Nie chcę tu niczego sugerować, ale gdybym sam podjął ten temat, uwzględniłbym bezsprzecznie także parę, jak Wiera i Marek Wołochow (Gonczarow), Lingard i pani Travers (Conrad), Ujhazi i Gerda (Bang), Glahn i Edwarda (Hamsun), Axel i Ingeborga (Kellermann), Ach, tyle, tyle tych par, co się o pióro proszą! **SWIATOWID**... Już teraz rozumiemy, czego w czterech stronach świata szuka dawny skromny „Turysta” — vide okładki n-rów 3, 4, 6 i str. 9 w n-rze 5. Naprawdę nie mamy nie przeciwko zdjęciom mnie lub więcej uroczych kociaków, ale na wszystko jest swoje miejsce. W piśmie turystycznym?

-kaj-

Z ARCHIWALIÓW LITERACKICH MIROŚŁAWA DERECKIEGO

**Prowincjo
— śpiewaj!**

Reportaż

Gospodarz zaciąga konia batem. „Ooo, to już tam niedaleko. Wedle tej kopy sosen”. Koń jest gniady z białą łatką na lewej pęcinnie, a bat leszczynowy. Droga jest błotnista i mokra. Posiada ona dwie koleiny. Dalej jest już tylko jedna koleina, a jeszcze dalej nie ma żadnej. Tylko wąska ścieżka biegnie polami. Po prawej ręce owies, po lewej pszenica jara.

Wreszcie kępa sosen. Liczy ona trzy sosny. Trzecia od końca ma ułamaną pierwszą

gałąź od dołu. Pod sosną siedzi ludowy artysta Jakub Wronka i struga. Na moje powitanie nie podnosi głowy. Zaczyna tylko strugać ze zdwojoną energią.

Jakub Wronka struga już tak od siedemnaście lat. Skąd mu się to wzięło? Nie wiadomo. Już jako młody chłopak zdradzał wybitne zainteresowania w tym kierunku. Ojciec loił skórę pasem, do roboty pędził, a on nie. Tylko strugał i strugał. I patrzył na wióry.

Wronka ma już 60 lat i pół kilometra do chaty. Ale od siedemnaście lat nie ruszył się z miejsca, w którym go spot-

kalam. O głodzie i chłodzie spełnia swoje posłannictwo. Jest ludowym artystą.

Skromne styndium w postaci trzydziestu sosen, jakie mu przyznała GRN, stopniało z biegiem lat do trzech sztuk. Ale pan Jakub nie przejmując się tym. Wie, że Gromada nie zapomni o nim, że kiedy zajdzie tego potrzeba, przydzieli mu może nie cały las, ale przynajmniej jakiś skromny zagajnik.

Latem przybiegają tutaj dzieci. Ich uśmiechnięte twarzyczki wnoszą trochę jasności do surowego otoczenia ludowego ascety. Wtedy i „dziadzio Jakub” uśmiecha się.

Z namaszczeniem wycuje na oselce wysłużony cyganek, a potem długo, starannie, układa maleńką dzieciną rączkę na jego trzonku i cierpliwie objaśnia trudną sztukę strugania. Raz dwa trzy, raz dwa trzy.

Ten samorodny talent nie doczekał się jeszcze żadnej pomocy ze strony Wojewódzkiego Wydziału Kultury. I nie on jeden. Są ich zapomnianych, niedocenianych, setki i tysiące. Strugają na przekór wszystkiemu. Na własną rękę.

A u nas się mówi że prowincja jest głucha i nie-

A. R.-T.